

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	6.
Półrocznie	3.
Kwartalnie	1.50
Miesięcznie	50
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie	7.—
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 rb
Po tekście	20 k

Numer pojedynczy 15 kop.

Zarząd Kowieńskiego Towarzystwa Rolnego Wzajemnych ubezpieczeń ZAWIADAMIA,

że z dniem 1 Listopada r.b. zyskuje moc uchwała Walnego Zgromadzenia Członków z dnia 24. II. 1912. na mocy której wszystkie roczne ubezpieczenia, o ile przed ich wznowieniem nie nadejdą do Zarządu zawiadomienia o zmianach lub o przerwaniu ubezpieczenia, odnowione będą bez uprzedniego o tem zawiadamiania interesowanych, z terminem do 15 Kwietnia 1914 r. z opłata należności w dwóch ratach.

Wykłady Rolnicze w Kownie

Organizowane przez Radę Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego odbędą się w Kownie w Sali Rady Miejskiej w czasie od 5-go (18) listopada do 10 (23) listopada r.b.

Program szczegółowy drukowany jest w № 42 Tygodnika Rolniczego.

Zapisy przyjmuje Sekretarjat Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego. W. Sadowa 29, Kowno.

Oplata za całość rb. 20, za poszczególne dni rb. 5 dziennie.

Dla pracowników Rolnych oplata zniżona do połowy. —: Przyjezdni wiadomość o hotelach znajdują u portjera w hotelu „Wersal“.

POD HASŁEM OPORTUNIZMU.

Akcja wyborcza na terenie sześciu gubernji litewsko-białoruskich dobiega końca. Wyniki jej pod każdym względem są mało pocieszające. Nieliczne przedstawicielstwo polskie utraciło jeszcze jeden mandat z gub. grodzieńskiej. Gub. wileńska i kowieńska zachowały swój status quo ante i będą reprezento-

wane w Dumie Państwowej przez sześciu posłów, tworzących odrębną grupę parlamentarną z szumnym tytułem: Koło posłów polskich z Litwy i Rusi.

Stanowiąc je będą pp.: H. Święcicki—ugodowiec, W. Puttkamer, F. Raczkowski (z gub. kowieńskiej), i ks. Maciejewicz—demokraci narodowi, W. Bańkowski—bezpartyjny, sympatyk endecji oraz M. Ciunelis—o poglądach niewyraźnych.

Pomimo różnic przekonaniowych, łączyć to grono poselskie będzie wspólna tendencja oportunistyczna politycznego, cechująca nasze społeczeństwo.

Żadnej wyraźnej linii, żadnej ideologii, żadnych perspektyw—hasła te, którym była dotychczas wierną reprezentacja polska, i nadal będą jej przyświecały.

Na początku obecnej kampanji wyborczej zdało się, że myśl polityczna w naszych kołach zachowawczych usiłuje wkroczyć na tory racjonalne, porzuciwszy utarte szlaki szablonoego merkantylizmu. P. Hipolit Korwin-Milewski, najtejsza głowa z obozu konserwatywnego, rzucił hasło popierania żywiołów opozycyjnych w kraju przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi—zoologicznemu nacjonalizmowi rosyjskiemu. Jak było jednak do przewidzenia, myśl ta nie znalazła aprobaty wśród jego spółwyznawców politycznych. Tradycje trzymania się klamki biurokratycznej—przemogły i niepopularny projekt—upadł.

Zresztą sam p. Milewski nie przywiązywał doń widocznie większego znaczenia, gdyż następnie zeszedł z zajętego stanowiska i przyczynił się nawet do obalenia kandydatury demokratycznej p. J. Romanowicza na wyborach gubernjalnych, jako zbyt dlań radykalnej.

Wobec zupełnego niewyrobinienia politycznego naszego społeczeństwa i przeważającego indyferentyzmu względem zagadnień społecznych, trudno było oczekiwać jakiejś programowej akcji wyborczej. Jedynie w Wilnie toczyła się walka między postępowcami i grupą endecko-klerykalną. Śród ziemiaństwa, jako grupy bardziej jednolitej, rażącej rozbieżności w poglądach być nie mogło. Rywalizujące ze sobą kierunki t. zw. realistyczny i demokratyczno-narodowy zaznaczyły podczas prawyborów swój antagonizm. W dwóch powiatach realisci vel ugodowcy odnieśli walne zwycięstwo nad endecją. Na ogół też mieli w kolegium wyborczym znaczną przewagę.

Na razie zamierzali przewagę tę wyzyskać, wysuwając kandydatury p. p. H. Święcickiego i J. Romanowicza — bezpartyjnego demokracji. Gdy jednak p. Romanowicz złożył wyznanie swej wiary, w którym zaznaczył, że chce być przedstawicielem kraju a nie interesów wyłącznych klasy ziemiańskiej — naszych agrarjuszów ogarnęła zgroza, i volens nolens zawarto kompromis wyborczy z endecją, na podstawie którego podzielono mandaty pomiędzy pp. Święcickiego i Puttkamera.

Szczegół charakterystyczny. Jako najzawziętsi przeciwnicy kandydatury p. Romanowicza wystąpili właśnie demokraci narodowi. Jeden z młodszych wyborców, należących do tego obozu, na zebraniu przedwyborczym zarzucił p. Romanowiczowi, że należy do stronnictwa kadetów oraz że jest zwolennikiem wywłaszczenia. W rzeczy samej p. Romanowicz nigdy nie był członkiem stronnictwa wolności ludu, tembardziej nie mógł popierać projektu wywłaszczenia, o czym można się przekonać chociażby z obszernego jego artykułu, zamieszczonego w r. 1906 w „Kurjerze Litewskim“ w kwestji reformy agrarnej, w którym wyraził jedynie pogląd, że ziemia nie powinna służyć do lokaty kapitałów i proponował podatek postępowy od obszarów, przenoszących 500 dziesięcin. Tego było dość, by pozyskać w oczach endeckiej szlagonerji markę niebezpiecznego przewrotowca.

Fakt powyższy, stwierdza jeszcze raz wymownie, że utożsamianie interesów narodowych z interesami większej własności ziemskiej należy do programu narodowo-demokratycznego i że stronnictwo to, prócz

uzurpowanego tytułu, z dążeniami istotnie demokratycznymi nic wspólnego nie ma.

Gdy chodzi o obronę interesów ziemiańskich różnice pomiędzy t. zw. realistami i endekami zacierają się całkiem, czego dowodem jest wspólna ich akcja przeciwko kandydaturze p. Romanowicza.

Dziwić się tylko można, że pomimo to, p. Romanowicz otrzymał 14 głosów. Widocznie, nawet śród konserwatywnego ziemiaństwa poglądy demokratyczne i postępowe zaczynają zyskiwać zwolenników. Najprawdopodobniej, jest to przedewszystkiem objaw protestu przeciwko tradycyjnej polityce oportunistu, dzięki której społeczeństwo polskie nie uzyskawszy ani jednej korzyści namacalnej, zatraciło jednocześnie doszczętnie niemal ducha idejowości, dającego uciskanym siły do trwania i wiarę w przyszłe zwycięstwo.

Ostatecznie jednak oportunizm zatryumfował w całej pełni, co pozwala p. J. Hł. z „Kurjera Litewskiego“ zacięć ręce z radości i twierdzić z zadowoleniem, że wszystko poszło zgodnie i składnie, czego oczywiście nie mógłby napisać, gdyby „poważna mniejszość została zmajoryzowaną przez nieznaną liczebnie większość“, innymi słowy, gdyby nie wybrano z gubernji ani jednego demokracji narodowego.

Endo-ugoda, jako dominujący kierunek w naszym społeczeństwie, utrwaliła się na dobre i nie ustąpi swego panowania, nim nie przyjdą znów wstrząśnienia, które zmuszą do przeobrażenia utartych metod i poglądów.

L. A.

Niepotrzebne maklerstwo.

Miniona akcja wyborcza miała pewien moment, mający znaczenie zasadnicze, o którym prasa miejscowa odezwała się pó gębkiem.

Tak jesteśmy przyzwyczajeni do działania konspiracyjnego, że nawet kwestje, nie wymagające tajności, załatwiane są za kulisami, poza plecami opinji publicznej.

mi,—czasem przesunął się ktoś pojedynczy, w parku nie było wiele osób zresztą.

Śmiała się znowu... Opowiadał jej wesoło o „Karolinie“ historję, o tem, jak się „faceci“ zbażali. Karolina, — ta gruba „ciotka“ z Krakowskiego, u której się na „kredkę“ stołowali. Dobrze to były czasy i tak niedawne, zdaje się! A jednak? — Ile to już wody w Wiśle upłynęło?

Zamyślił się, westchnął. Słońce padło mu wprost w twarz, zmrużył nagle oczy. Przytuliła się silnie do niego.

— Moje małe... — zakaprysiła — mój dzieciak... Kocha, lubi? Kocha, lubi? — powtórzyła. Spojrzała mu w oczy uważnie. Twarz rozśmiała mu się dziecinnym grymasem, nadstawił jej usta. Rozejrzała się i spostrzegłszy, że są sami, pochyliła się szybko ku niemu.

— Słuchaj, za co kocha? — pytała zarumieniona. — Ty, ty, brzydal! Ty, ty, panie Jerzy Pożyniecki, ty... Urwała — spojrzała pokornie w oczy jego, prosząc jakby o przebaczenie. Z wyrzutem miał je w niej utkwione.

— Tss, malec! Już dobrze, już cacy dziewczynka, już nie będzie! Ot, tak się głupio wymówi-

JAN AUGUSTYNOWICZ.

Zastygła fala.

Prowadził ją pod rękę i spoglądał ciekawie w modre oczy tej młodej swojej żony, którą poślubił tak niedawno temu, i z którą „miodowy“ tutaj, w Jalcie, miesiąc spędzał. Śmiała się wesoło, a on, ucieszony z tego, przyciskał jej ramię czulej jeszcze, darząc pieśczołkami słowy...

Słońce padało plamami po przez liście na nich. Szeroka aleja promieniowała jakby wonią. Czystość dziwna powietrza, przesycona zapachem kwiatów, tężała niezwykajnie. Nie było upału — było rzeźko, owszem, cały ogród dyszał tak świeżością...

Szli wolno. Wkrótce skręcili w aleję oboczną, a później znowu w inną. Szukali, jak kochankowie, miejsc pustych możliwie, by skryć się przed wzrokiem ciekawych. Czynili to na pół—świadomie jakby. Jakieś podobne do nich pary miały ich czasa-

W ten sposób postąpiono np. z propozycją, pochodzącą z kół nacjonalistycznych żydowskich, aby przeprowadzić w Wilnie wybór na posła Gruzenberga, wzamian za co zostałyby zapewniony w Warszawie wybór Kucharzewskiego.

Sam fakt propozycji nie może wywołać zdziwienia. Nacjonalizm, pod jakąkolwiek flagą będzie występował, w treści swej jest identyczny. Obcy wszelkim pierwiastkom idejowym, uznaje chętnie metody, stosowane przez business. Handel więc zamienny posłami, z jego punktu widzenia, może mieć taką samą rację bytu, jak towarami łożciowemi.

Dziwić się natomiast można i należy, że pośrednictwo swe w tym interesie wątpliwym zaoferowało stronnictwo kadetów. Już sam fakt interwencji prasowej Milukowa i Pietrunkiewicza do sprawy wyborów warszawskich musiał wywołać niemiłe wrażenie. Jeszcze bardziej rażącym był krok Rodiczewa, który osobiście zjawił się w Wilnie w roli fatora niejako nacjonalistów żydowskich, by poprzeć ich propozycję co do wymiany posłów. Nie od dziś cechują stronnictwo kadetów niedwuznaczne tendencje centralistyczne. Nigdy może jednak nie ujawniły się one tak wyraźnie, jak w fakcie ostatniej ich interwencji do spraw, nie mających żadnego związku z kwestją wolności ludu rosyjskiego.

Nie pomogła jednak protekcja wpływowych działaczy kadeckich. Propozycja została odrzuconą. Z jakich pobudek? Oczywiście natury również bynajmniej nie zasadniczej. Prostu, wyborcy—polacy nie widzieli w niej żadnego interesu. Stanowisko obywatelstwa krajowego, którem szczytą się nasi realiści, nie stanęłoby na przeszkodzie zawarciu tej tranzakcji, zasadniczo z niem sprzecznej. Wpłynęła na odmowną odpowiedź raczej postawa niechętna względem tego rodzaju konszachtów—Warszawy. Zresztą przyjęcie propozycji byłoby niewątpliwie źle widziane przez sfery rządowe, które nie po to przecież wprowadzały kurje wyznaniowe, by polacy dobrowolnie ustępowali mandat z Wilna żydowi. I to bodaj był powód najważniejszy.

Wyborcy żydzi zareagowali w ten sposób iż nie stawili się całkiem do wyborów, ogłosiwszy deklarację, w której stawiają zarzut *przedstawicielom narodu polskiego*, że korzystając z przewagi, jaką im daje ordynacja wyborcza, nie stanęli na stanowisku sprawiedliwości i w imię jej nie udzieliłi jednego mandatu reprezentantowi ludności żydowskiej.

Nacjonałści żydowscy wymawiający endogodzie polskiej jej egoizm narodowy—doprawdy zakrawa to na komedię. Ani owe gremjum wyborców polaków, złożone niemal wyłącznie ze szlachty, nie może rościć pretensji do reprezentowania *narodu polskiego* ani protestujący wyborcy żydzi nie są istotnymi przedstawicielami ludności żydowskiej, której większość stanowi pozbawiony prawa głosu proletarjat. Deklamacje więc na temat słuszności i sprawiedliwości w stosunku do dwóch społeczeństw brzmią dziwnie fałszywie, wobec tego, iż obie grupy pertraktujące stoją na stanowisku wyłączności nacjonalistycznej i mogą zabierać głos decydujący dzięki właśnie rażąco niesprawiedliwej ordynacji wyborczej, faworyzującej sfery uprzywilejowane kosztem żywiołów demokratycznych.

Oto jak łatwo się narazić na śmieszność, gdy się schodzi ze stanowiska zasadniczego i w pogoni za drobnym zyskiem chwilowym wdawać się wypada w kombinacje geszefciarskie.

Niezrozumiały zaś już jest całkiem udział w tem wszystkim p. Rodiczewa, gorącego „trybuna ludu“, kołaczącego do obszarników polskich w roli maklera interesów nacjonalistów żydowskich.

Trudno wymagać, aby w Petersburgu miano dokładne pojęcie o stosunkach wileńskich lub warszawskich, ale wolno żądać, aby nie wtrącano się do spraw miejscowych w sposób, kompromitujący jedynie zasady demokratyczne i postępowe.

a.

!o! Nie będzie dziewczynka, — gapa brzydka. Na, bij, ukarż Dzidę, Be, brzydka, brzydka Dzida!.. Gapa... niezdara!..

Stań!a, zmrużyła oczy, stuliła usta.

— Juras! — złożyła dłonie.

Poprawiał coś przy jej kryzie.

— Trzeba uważać, Zośka. Koniecznie trzeba uważać. Bo przyzwyczaisz się. A przecie — wiesz...

— Wiem... wiem!

— No... Więc Dzida już nie będzie?

— Nie będzie Dzida, nie! Niech już pan...

Zastanowiła się. Szukała czegoś w pamięci.

Patrzył na nią zgorszony.

— Stefan... — podpowiadał.

— Stefan... Nie, fe... Stefan? Ach, Boże! Stefan... Stefek, Stefuś...

Klasnęła w dłonie. Lecz wnet skrzywiła się z wyrzutem:

— Nie! Cóż to! Stefek, Stefuś? Ech... Jerzuś...

Juras Poż... — powtórzyła.

Skarcił ją:

— Zochal!

A później pół-serjo, — pół-poważnie przedstawił jej się znowu:

— Stefan Maliniewicz, obywatel ziemski z „*Carstwa Polskawo*“.

— „*Priwislinskawo kraja*“... „*Priwislinja*“... — poprawiła. — Proszę nie obrażać!

Pogładził ją po twarzy:

— Ty, ty, mała...

— Stefan Malinie...? Maliniewski? Malinowski? — krzywiła się — Maliniewicz!? Mój — Juras! — zniżyła głos. Poszła jakby myślą dokądś, zasepiła się. Westchnęła potrosze.

— Ech, żebyś to ty już wrócił do „siebie“ narzecie, mój Jura, ech, żeby...

Zachnął się:

— Nie kapryś, Dzi. Dzieciak!

Ale potrzęsnęła głową:

— Nie, Jur. Czyż całe życie... — tak? — poskarżyła się.

Skręcili znowu w przecznicę. Byli w najzacisniejszej części, — gwar wszelki odpadł całkowicie.

Błądzili czas pewien, wtrąceni w odrębną kolską myśl. Milczeli, wreszcie ona rzekła:

— Tyle lat, Jur! A czy ja wiem, co było przedtem? Ty pewnie w pieluchach już „*na nielegalnom pałażenji*“ byleś? — uśmiechnęła się z przymusem.

Nacjonalizm a młodzież.

Od roku już przeszło na porządku dziennym publicystyki polskiej stoi sprawa rozkładu stronnictwa demokratyczno-narodowego i upadku wpływów do niedawna wszechpotężnego obozu politycznego, reprezentującego tendencje nacjonalistyczne. Skutki jego hegemonji podkreślano w prasie niejednokrotnie. I dlatego ogromnej wagi nabiera pytanie, czy istnieją u nas odpowiednie warunki ku dalszemu rozwojowi ideologicznych przesłanek Demokracji Narodowej.

Zadaniem niniejszego artykułu będzie dostarczenie materiału z pewnej dziedziny dla odpowiedzi na owo pytanie, a to przez zwrócenie uwagi na stosunek społecznej młodzieży uniwersyteckiej i szkolnej do ruchu nacjonalistycznego.

Niedługo już wejdzie w życie pokolenie porwolutyjne, które bezpośrednio nie przeżywało tragedii 1905 r., natomiast dokonało przewartościowania kierunków idejowych, nurtujących młodzież przed wojną rosyjsko-japońską. Sądzę, że wykazanie natury tego przewartościowania nie jest pozbawionem znaczenia.

Równocześnie ze zwiększaniem się sił Demokracji Narodowej wzrastał w okresie lat 1906—1908 pośród szerokich kół młodzieży wpływ kierunku t. zw. narodowego, wyznającego ideologję nacjonalistyczną. Stowarzyszenia ogólnopostępowe ustąpiły na plan dalszy, ściśle socjalistyczne przechodziły epokę walk rozłamowych, a ogół szedł zwartym szeregiem pod sztandary lwowskiej „Teki”, centralnego organu „wszechpolaków”. „Teką” zaś, wychodząc z zasad narodowego egoizmu i narodowej ekspansji, jako sprawdzianów społecznego i kulturalnego wychowania młodzieży, konsekwentnie prowadziła pracę nad urabianiem działaczyw narodowo-demokratycznych. Zdolności organizacyjne „magów wszechpolskich”, jak do wzięcia kiedy nazwał lwowskie „Zarzewie” redaktorów i wydawców „Teki”, doprowadziły stowarzyszenia „narodowe” do stanu kwitnącego. Cała Galicja, wiele miast uniwersyteckich zagranicą było pokrytych siecią ugrupowań „wszechpolskich”; wszystko się składało na obraz dosko-

nale funkcjonującego organizmu, prawdziwej szkoły nacjonalistycznej. Dopiero od r. szk. 1909—1910 datuje się zmiana.

Pierwszy impuls dało odrodzenie ruchu młodzieży postępowej.

Nie będę wchodził w analizowanie przyczyn samego zjawiska, ograniczę się tylko do podkreślenia kilku charakterystycznych faktów.

Zagraniczne stowarzyszenia postępowe, pomimo rozłamu pomiędzy sympatyzującym z lewicą P. P. S. i socjalną demokracją „Związkiem” a dążącą do syntezy ideałów społecznej reformy i radykalno-patriotycznych „Unją”, rosła na siłach i w chwili obecnej, jak to wykazują nie kwestionowane przez nikogo urzędowe sprawozdania rządów obu grup, sama „Unja”, nawet bez „Związku”, reprezentuje znacznie większą sumę wpływów, aniżeli „narodowe” „Zjednoczenie”. W kraju we wszystkich środowiskach uniwersyteckich i szkolnych myśl postępową znacznie posunęła się naprzód, a wszędzie jej rozwój łączy się z krytyką i negacją nacjonalizmu. We Lwowie zostaje wznowiony organ postępowców zbliżonych do „Unji”—„Promień”, ukazują się sparadyczne wydawnictwa w formie jednodniówek, a prawie wszędzie brzmi ton ostrego przeciwstawienia się hasłom „Teki”. Do ideału braterstwa ludów odwołują się uchwały wielu wieców i zgromadzeń i zjazdów młodzieży przy omawianiu tak drażliwych spraw jak kwestja rusińska na uniwersytecie lwowskim, spór polsko-litewski i t. p.

Z drugiej strony niezmiernie zastanawiająca wydaje mi się ewolucja idejowa, jakiej uległa sama młodzież „narodowa”.

W listopadzie r. 1909 ukazał się we Lwowie numer okazowy czasopisma „Zarzewie”, wydawanego przez grono niezadowolonych z oficjalnych kierowników ruchu „narodowców” i z punktu poddano na jego łamach krytyce „Teke” i jej taktykę, a wkrótce nastąpiło przejście do krytyki podstawowych haseł i założeń. Zwolennicy ortodoksji przez dłuższy czas pragnęli znaczenie „Zarzewia” zbagatelizować, utożsamiając je uparcie z narodowo-demokratyczną „frondą”, odmawiając samodzielności i w tworzeniu wartości idejowych i t. p.

— Jur, Jur mój złoty!

Wzięła go za rękę i szli tak dalej w milczeniu.

— Trzydziestkę już masz, Jura! I jak zwierz ścigany zawsze... Bezimienny, obcy, cudzy... inny, nie swój, bez dachu... Ty, a nie ty jednak! Życie całe — dotąd. A czyż można tak zawsze, czyż można?.. Jura!.. Zagranicę by...

Zmarszczył brwi, gniew nagły się weń wszczerpił. Stał, spojrzął ze zdumieniem:

— Zośka!

Zmarszczył brwi silniej jeszcze. Cień przeleciał mu po twarzy. Odstąpił krok od niej:

— Zośka...

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

Patrzała nań spokojnie.

— Coś ty rzekła, Zośka? Czego ty chcesz, Zośka? Towarzyszka! A ty wiesz, że... Aaa, aaa... zaszeptał w głuchem zadziwieniu.

Zaniepokoiła się.

— Jura! Cóż to, co to?

Oczy zaświeciły mu i zmierzchły nagle.

— Towarzyszka! Zośka! A pamiętasz, jak razem my na robotę chodzili? Pamiętasz, jak dobre

facety tam były? Pamiętasz, jak patrol wtedy nas ścigał, gdy zginął... Mielczarek? Pamiętasz, jak przysięgali my? — mówił gwarą andrusowską bez potrzeby, z szydem i ironją, a w ustach obracał jakby ziarnko małe zdumienia, które chciałby zda się, wypłuć...

— Działacze my byli! pracownicy! Partja! A któż lepiej odemnie. że trza czynić, wiedział? Ty nasza, dobra była! Ty wierna nasza była! A dziś, a teraz? Ot, na co to przyszło!

Podeszła szybko ku niemu, ujęła go za rękę i wparła mu się wzrokiem w oczy,

— Jur... Ty żarty głupie jakies?..

Odepchnął ją:

— Żarty?!

Cichym przykrym głosem się roześmiał.

— Ja nie wiem, coś ty powiedziała, Zośka! Ty dokończ, dokończ! — spojrzął. — Ty dokończ! — krzyknął z rozdrażnieniem.

— Ja ciebie kocham... światem moim jesreś... — szepnęła w bolesnem zadumaniu.

— Dokończ, dokończ! — uniósł się już całkiem.

Jął mówić szybko. Padaly słowa, jakby węgle rozżarzone, co w wodę z sykiem się grają. Czarna

Nie o to tu jednak idzie. Choćby „Zarzewie“ było — co jest zresztą niesłuszne — zwierciadlanem odbiciem „myśli fronderskiej“, nie zmieni to wszakże faktu, że w dziedzinie postulatów idejowych i sposobie stawienia zagadnień wychowawczych zerwało ono całkowicie z nacjonalizmem.

Wystarczy wziąć do ręki ostatnie roczniki omawianego pisma; znajdziemy tam, być może, do naiwności szczerą frazeologję, nieumotywowaną pewność siebie, wiarę we własne siły, wszystko, co chcecie, ale... ani śladu „Myśli nowoczesnego polaka“.

Jeżeli zaś zważymy, że „Zarzewie“ pociągnęło za sobą znaczną ilość zwolenników ruchu „wszechpolskiego“, zrozumiemy, jak doniosłym było ono momentem w dziejach rozwoju zapatrywań społecznego młodego pokolenia. Widzimy zatem, jak znacznie zmalała od r. 1909 do 1910 sfera wpływów nacjonalizmu pośród ogółu młodzieży. Co ciekawsze jednak, wnet po rozłamie z „Zarzewiem“ w łonie pozostałych początkowo przy dawnym sztandarze ugrupowań „wszechpolskich“ rozpoczął się ferment, który, jak się zdaje, bardzo radykalnie zmodyfikował ich fizjonomję idejową. Od końca r. 1910 „Teki“ przestała wychodzić. Wskutek tego proces przetrwania się młodzieży „wszechpolskiej“, jako systemu idejowego, odbył się w ukryciu, poza oczami „profanów“, jeżeli nie liczyć paru uczniowskich pisemek, noszących charakter efemeryczny.

Dopiero w r. 1911—1912 ukazała się „Młodzież“ (dzisiaj „Miesięcznik młodzieży polskiej“) w Krakowie i „Sprawa“ — nowy, sądząc z tonu i oświadczeń redakcji, organ centralny młodzieży „narodowej“.

Podkreślam słowo: „narodowej“ w odróżnieniu od terminu: „młodzież wszechpolska“. Dawniej używano obydwu określeń równocześnie, dlatego nie uwzględniałem rozróżnienia w pierwszej części mego artykułu. Ponieważ jednak dzisiejsza młodzież „narodowa“ zerwała z tradycjami „wszechpolskimi“ w znaczeniu prądu wszechpolsko-nacjonalistycznego, będę nadal używał tylko spójnie oficjalnej nazwy.

Aczkolwiek bowiem na łamach „Sprawy“

spotykają się reminiscencje dawnych haseł, naogół wszakże pomiędzy jej programem a programem b. „Teki“ leży przepaść. Przedewszystkiem „Sprawa“ zerwała stanowczo z Demokracją Narodową; powtórę, co ma znaczenie zasadnicze, punkt ciężkości swych rozumowań i zamiarów przeniosła w dziedzinę wewnętrzną pracy narodowej, urzeczywistnienia ogólnych ideałów narodowych oraz na rozstrzygnięcie kwestji społecznej (mówiąc nawiasem w kierunku oryginalnej mieszaniny solidaryzmu z indywidualnymi koncepcjami autorów poszczególnych artykułów) i t. p. Dotychczas „Sprawa“ nie dała wyczerpującej charakterystyki swego stanowiska wobec kwestji narodowościowej. Wnosząc jednak z epizodycznych napomknień, stanowisko to będzie się w każdym razie mocno różniło od ziejącego nienawiścią artykułu b. „Teki“ w kwestji rusińskiej p. t. „Si vis pacem, para bellum“.

Bądź co bądź punkt wyjścia dawnego ruchu „wszechpolskiego“: zasada narodowego egoizmu — nie jest przez dzisiejszych wodzów młodzieży „narodowej“ uwzględniany, i, chociaż można i trzeba jej moc postawić zarzutów, ale o świadomem budowaniu koncepcji nacjonalistycznych przez jej zwolenników na razie niema mowy.

Twierdzenie moje o różnicach, dzielących społeczną młodzież „narodową“ od dawnej „wszechpolskiej“ popiera fakt następujący.

W marcu r. b. miała miejsce próba wznowienia wydawnictwa „Teki“. Ta nowa „Teki“, której się ukazały dotąd dwa numery (marcowy i kwietniowy), niczem się pod względem zasadniczych stanowisk nie różni od starej, a tymczasem wnet po jej ukazaniu się „Akademicka młodzież narodowa“ wydała, ogłoszony w pismach galicyjskich, charakterystyczny komunikat, w którym podaje „do wiadomości ogółu młodzieży polskiej“, że nowa „Teki“ nie ma nic wspólnego z organem młodzieży „narodowej“, wychodzącym ongi „pod tą samą nazwą“. Innemi słowy podpisana na komunikacie młodzież zaprzecza nowej „Tece“ a tem samem i reprezentowanym przez nią zasadom prawa do uchodzenia za wydawnictwo kierunku „narodowego“. Komunikat ten, według słów sa-

nagła żaloba zmieniła niedawną beztroskiwość, runęła, jak bezecność. Zmierchły: aleja i ogród, a słońce się skurczyło. I nikt nie wiedział, nie odgadłszy, że tak wesoło tu przed chwilą było.

— Nie, nie! — przeczył, gdy dłoń jego wzięła chciała.

— Ja nigdy nie myślałem, Zośka! Tyle lat! Taka dziewczyna, — nasza! A gdyby nawet nie, gdybyś nawet nigdy nasza nie była, to jak ty mnie, skoro wiedziała, jak ty mnie, jak mogłaś?!

Szła cicho obok niego.

— Ja — wiesz! W sprawę z duszą wlałem. Wlałem! Ty... — Kocham cię tak przecie — rzucił przez zaciśnięte zęby — ale sprawa, och, sprawa! Nie jestem szczeniakiem, młokos, błazen, nie jestem żółtodziób, Trzydzieści! A to ci wyznam: wiem do czego dążę. Dwanaście lat na pracy tej mi zeszło, dwanaście! — powtórzył z dumą. I póki siły, zdrowia, możności... Póki mocy...

Głos załamał mu się.

— Nie tegom ja od ciebie... Ty! Zoska, dziewczyna nasza! Dawnom cię w sercu swem poślubił, dawno ma dusza... Kochałem cię, Kocham, ale...

Urwał.

— Ale?.. podjęła, błędąc.

Odwrócił oczy. Milczał.

— Ale?.. — zaszepotała z drżeniem.

Rosa pokryła dłoń jej. Wzięła go za rękę. Nie wzbronil jej, choć...

— Dzieciak... głuptas! — zaśmiał się szorstko, chcąc jakby w nicość zepchnąć słowo owo, zdławił to, co marą tu doń przyszło.

— Głupstwo, nic! — odrzucił i poszedł przed się dalej.

W pewnej chwili przystanął i rzekł do niej nagle:

— To boli, rozumiesz?! Ja wiem! „Czyż zawsze?“ „Czyż zawsze?“! — rozśmiał. A to „zawsze“ — to obrzydłość, to — hańba! — wybuchnął.

Błada była.

— My wszyscy, wszyscy! — mówił „gorączkowo. Do czasu, kiedy się nie znudzi! A później: dość. Dość, dość! — śmiał się — dość, dość! „Życie“ prawdziwe się poczyna! Ale nie wszyscy, nie wszyscy! — tupnął nogą z zacieklnością.

Spojrzał na nią.

mej „Teki“, dowodnie wykazał, że dzisiejsza młodzież „narodowa“ nie jest dawną „wszechpolską“.

Co się tyczy samej próby odrodzenia nacjonalizmu w gronie „młodych“, według zapewnień jedynomyślnych postępowego „Promienia“, „Zarzewia“, „Sprawy“ i poznańskiego „Brzasku“, wpływy nowej „Teki“ sięgają nielicznych i niepopularnych grupki uczniowskich w Galicji wschodniej, kierowanych przez akademików lwowskich — zwolenników Demokracji Narodowej, którzy po ostatnim rozłamie w „Czytelnicy Akademickiej“ pozostali zupełnie odosobnieni. Z tej zatem strony nie grozi „niebezpieczeństwo nacjonalistyczne“.

Reasumując wszystko, co powiedziałem wyżej, można twierdzić śmiało, że nacjonalizm nie cieszy się w dobie obecnej sympatją „młodych“ i „najmłodszych“. Silny ruch postępowy jest jego naturalnym przeciwstawieniem, zaś kierunek t. zw. narodowy wyzwolił się prawie zupełnie — za nielicznymi wyjątkami — z pod jego wpływów. Mówiąc nawiasem, nigdzie bodaj nie spotyka się tak bezwzględnej krytyki metod działania Demokracji Narodowej, jak w gronie „narodowców“ i (co na to powie „Związek katolicki“ w Królestwie?) młodzieży o zabarwieniu religijno-katolickim...

Dzisiaj Demokracja Narodowa, jak się zdaje, bankrutuje; ciągłość myśli pomiędzy nią a młodem pokoleniem została zerwana. Stronnictwo, które niezbyt jeszcze dawno z dumą mówiło „naród — to ja“, na zasilenie swych kadrów przez zastępy młodej inteligencji liczyć nie może.

Mieczysław Niedziatkowski.

Polacy na Rusi.

Czem są polacy na Rusi — co znaczą — co przedstawiają? — są to pytania, na które usiłuje odpowiedzieć w granicach dostępnej dziś możliwości p. Joachim Bartoszewicz, w pracy statystycznej p. t. „Na Rusi polski stan posiadania“. Stan polskości na kresach ruskich jest pokryty mgłą niepokojącej tajemniczości — mówi autor, a „Kultura Polska“ stwierdza, że dla przeciętnego mieszkańca Polski Litwa i Ruś to jakieś odległe, tajemnicze i dzikie kraje „zabrane“.

A tymczasem Wołyń, Podole i Ukraina zajmują 144,736.4 wiorst kw. i są większe od Królestwa Polskiego, które liczy tylko 111,554.2 wiorst kw., prawie dwa razy rozleglejsze od Galicji, mającej zaledwie 78,496 kil. kw., a przeszło cztery razy od W. Ks. Poznańskiego, liczącego 28,963 klm. kw.

Na takiej przestrzeni zarówno wygląd zewnętrzny, jak gatunek gleby, roślinność i klimat muszą przedstawiać ogromną różnorodność. Są tu więc i leśne niziny i łąki błotniste i nieurodzajne liche piaski, a na dawnych stepach, dziś szumiących zbożem, czarnoziemy głębokie, ziemie czarne, ciężkie i tłuste, zięjące spiekotą od wiatrów, dochodzących od „dzikich pól“. Ludność, tu zamieszkała, wynosi przeszło 12 milionów; od czasu zagarnięcia kraju przez Rosję wzrosła prawie siedmiokrotnie. Polacy wśród niej stanowią cyfrę 800,000 tysięcy, a nawet według przypuszczeń p. J. B. dosięgają prawdopodobnie miliona. Obliczeń ścisłych niepodobna otrzymać wobec tendencyjnego fałszowania statystyki ludności polskiej. We-

ług wykazu z r. 1909 liczba polaków na Rusi wynosi 424,552.

Co ona oznacza? — zapytuje autor. Dla nas — że taką mniej więcej jest na kresach ruskich ilość polaków świadomych swej narodowości. Prawie drugie tyle bądź utraciło tę świadomość, bądź też nigdy w należytych nie posiadało jej stopniu i jest dziś materiałem biernym, do wynarodowienia podatnym. A więc obecnie rzeczywiste siły polskie liczą się tu na pół miliona — około 4 proc. ogółu ludności. Trzeba jednak zauważyć, że procent rosjan, zamieszkałych na Rusi, nie jest bynajmniej wyższy; te dwie grupy: polaków i rosjan narodowo uświadomionych są mniej więcej równe.

Wołyń, Podole i Ukraina to kraj przeważnie rolniczy, któremu wieś nadaje charakter i znaczenie. Miast tu mało, mniej niż za czasów Rzeczypospolitej i znaczną większość ludności stanowią w nich żydzi, których ogółem mieszka na Rusi 1,441,737. Przemysł fabryczny zaledwie w trzeciej części usadowił się w miastach; przeważnie cukrowniczy, gorzelniczy, młynarski. Ten pierwszy przed kilkudziesięciu laty wprowadzili tu polacy z wielkim nakładem energii i pieniędzy. Istniejące dziś na Rusi 141 cukrowni przerobiły 400 milionów buraków i wyprodukowały około 60 milionów pudów cukru. Z tych cukrowni 36 należy zupełnie lub przeważnie do polaków a ich kapitał zakładowy wynosi 22,535,000 rubli, choć niewątpliwie polskich pieniędzy w tutejszym przemyśle cukrowniczym znajduje się daleko więcej, tylko oznaczyć ich nie można.

Lecz najsilniejszą placówką ekonomiczną polaków w tym kraju — jest ziemia. Statystyka urzędowa, dla użytku ziemstw kurjalnych, podaje ogólny obszar ziemi w posiadaniu polaków na Rusi na 2,306,059.17 dziesięcin. W stosunku do ogólnego obszaru własności wyborców ziemskich polska stanowi 46 proc. — niepolska 54. Ale zważywszy, jakie obszary ziemi znajdują się w rękach włościan nadziałowych, przeważnie rusinów, to w stosunku do tego całego obszaru własności ziemskiej na Rusi polacy posiadają tylko 16,4 proc. Jednakże przeciętny rozmiar posiadanych własności ziemskich jest wśród polskiej własności ziemskiej jest wśród polskiej dwa razy a na Wołyniu nawet cztery razy większy, niż wśród niepolskiej. Na jednego większego właściciela polaka wypada przeciętnie 1036 dziesięcin ziemi, nie polaka — 928. W stosunku do całości większego władania większość polska wynosi 48,5 proc., niepolska 51,5. Polaków właścicieli na ogólną liczbę 4,638 jest 2,124 czyli 45,8 proc. W średniej własności polacy stanowią 22,7 proc., a ziemia w ich rękach przedstawia tylko 26,6 proc. ogółu tej grupy. W mniejszej własności stosunek ten jest jeszcze niższy: polacy posiadają tu zaledwie 15,1 proc. ziemi a ilość ich wynosi zaledwie 14,2 proc. Wartość ziemi i wogóle wszelkiej własności polskiej nieruchomości na Rusi p. Bartoszewicz oblicza na 650 milionów rubli.

Polacy, stanowiący około 8 proc. ogółu ludności (urzędownie około 4 proc.) żyją rozproszeni na tym wielkim obszarze; ekonomicznie silni, liczebnie słabi, nie czują swej siły zbiorowej, często nie wiedzą jedni o drugich. Bogatsi oby watele stronią od uboższej szlachty i nie utrzymują żadnych stosunków z czynszownikami, z mazurami, oddawna na Rusi osiadłymi; a jednak z ogólnej sumy 6,050 polskich właścicieli na Rusi (wyborców ziemskich) tylko 2,124 jest większych, reszta to właściciele średni i mniejsi. Najwięcej jest ich na Wołyniu, lecz tu giną w zapomnieniu,

ruszcząc się stopniowo. Nie liczbą — bo jest ich tu mało — górują polacy na Rusi, lecz zamożnością. Stanowią siłę ekonomiczną, z którą liczyć się trzeba. Jednak znaczenie jej na tych ziemiach nie sama zamożność tłumaczy — wypływa ono z innych czynników, które tu działały i jeszcze działają.

Syndykalizm francuski.

„Je ne suppose, je ne propose,—j'expose“.

W walce o zmianę obecnego ustroju zła i krzywdy społecznej ogólnie zarysowały się dwa prądy. Jeden, nie przestając być walką, ma jednak wszystkie cechy ewolucji. Działalność polityczna w formie istniejącej, taktyka kukułki, która w cudzem gnieździe chce wychować swoje pokolenie piskląt, cała teoria przyszłości i przygotowany system nowego życia, nie zagłada posiadających, lecz uniemożliwienie posiadłości, z walki klas przeskoczenie do szczęścia wszystkich bez wyjątku, — oto jego wybitne cechy. Zdobywa on wszystkie placówki, nie gardzi wypróbowanym orężem. Jeśli uznaje i dąży do kataklizmu, to żeby ze zwałonych murów, ze starych cegieł, na dawnym miejscu wybudować nowy, wielki, piękny gmach jutra. Z dwóch armji wrogów przez zwycięstwo uproszczonych chce stworzyć jeden obóz szczęśliwych. Myśli, przewiduje i odpowiada z wiarą. Co będzie „potem“, Znamy go: to socjalizm.

Od tej rzeki protestu oddzielił się z początku wązkiem korytem słaby, lecz samodzielny drugi prąd. Czas i okoliczności nadały mu odmienny kierunek i olbrzymią siłę. Także jego źródłem jest krzywda pracujących, łożyskiem walka klas, a celem przewrót społeczny. Lecz tu już niema ewolucji. Rewolucja, kataklizm jeden i ostatni, zagłada przeciwników bez odwrotu i łaski. Odrzuca on stare środki, niema parlamentów, niema sympatyków, niechce kompromisów. Murem stanowczej nienawiści opasa swoją klasę, w niej tworzy, działa, na niej i tylko na niej opiera swój rachunek zwycięstwa. Co będzie „potem“ — nie wie i niechce wiedzieć: siła rzeczy sama odpowie. Takim jest syndykalizm. Dodajmy zaraz: we Francji.

Jest to jednak niewystarczający ogólnik. Musimy naprzód poznać jego dzieje, ażeby zrozumieć ten wpływ, jaki dzisiaj wywiera i tę rolę, jaką kiedyś odegra.

Rewolucja francuska przynajmniej w teorii obdarzyła ludzkość żywym pojęciem: „człowiek wolny“. Zginął on jednak szybko z rachunku prawdopodobieństwa, gdyż zaatakowały go jednocześnie dwie siły. Jedna wyparła go w krainę marzeń o przyszłości: to represje ze strony uprzywilejowanych. Druga — nie dała mu nawet tam istnieć i skazała na wygnanie dalsze w dziedzinę bajki i legiendy: to koncepcja „człowiek społeczny“. Powstał ostatni we Francji pod wielorakim wpływem: historyków jak Taine*), ekonomistów

*) Syndykalizm francuski nie posiada tak wyczerpującego dzieła jak np. praca S. Webb'a „The history of trade unionism“. Wiadomości o nim są rozsiane w tak dużej ilości artykułów, broszurek, książek, sprawozdań parlamentarnych i kongresowych, że z braku miejsca będziemy cytowali tylko nazwiska autorów.

jak Le Play, socjologów jak Durkheim i Guyan, utopistów jak Fourier, Cabet, Blanc. Jednocześnie socjalizm zdogmatyzował naukowo walkę klas. Wystarczające to były czynniki, ażeby idea całkowania jednakowych sił w społeczeństwie zdobyła nie tylko wiernych, ale i bojowników, którzy przez lata, pokolenia, przeszkody wywalczyli jej prawo groźnego obywatelstwa.

Już na trzy lata przed falą wolności 48 roku pojawił się w Journal des Economistes skromny artykuł, proponujący założenie Giełdy Pracy. Autor — de Molinari wychodził z założenia obustronnych korzyści jak dla pracowników, którzy będą mogli ustalać swoje normy, tak i dla pracobiorców, którzy znajdą gotowe kadry robotników. Wystarczyło to, ażeby wyklęli go natychmiast i jedni i drudzy: ci — przez niedowierzanie do burżuazyjnej sztuczki, tamci — przez bardziej dalekowszyczącą obawę. O ile jednak niedowierzanie znika w rewolucji 48 lat i wywalcza sobie prawo zrzeczeń, o tyle obawa wzrasta. W 51 roku projekt Giełdy Pracy, przedstawiony Izbie przez deputowanego Ducon, zostaje odrzucony ogromną większością głosów (418 przeciwko 218), a w rok potem wychodzi dekret, odbierający proletariatu zdobyte prawo jakichkolwiek związków. Z Giełdą Pracy spotkamy się dopiero po trzydziestu paru latach. Nastają czasy złudzeń nowej wielkości Francji: drugie cesarstwo.

Najrozmaitsi badacze, pragnąc wykazać historyczną ciągłość koniecznych wymagań pracującego ludu, starali się wykryć ślady ruchu syndykalistycznego w tym okresie czasu. Dowody ich jednak są naciągane, nie opierające się na żadnym realnym fakcie, a co więcej, przywłaszczone z dziejów czystego socjalizmu. Francja spała i śniła snem urojonej potęgi. Dopiero w 67 roku pojawia się mały, lecz niezależny pierwszy syndykat szewców. Istniał on prawem kaduka, może dzięki lenistwu zużytej monarchji. Zresztą był potulny. Dekret czerwcowy następnego roku uświęca nawet ten fakt już dokonany. Dołącza się też zaraz kilka innych drobnych stowarzyszeń i w ciastym pokoiku na ulicy Corderie tworzą wspólnie Izbę zfederowanych związków robotniczych w Paryżu **) (Chambre fédérale des sociétés ouvrières de Paris).

Była to forma zwykłej pomocy bratniej. Politykę wprowadzali raczej ludzie, niektórzy członkowie syndykatu, nigdy jego statut. Jeśli więc były omawiane zagadnienia polityczne, to jako echo z zewnątrz, z ogólnego wrzenia międzynarodówki. Strejk grał rolę możliwego nieszczęścia, przed którym trzeba się ubezpieczyć, a bynajmniej nie ostrej i pożytecznej broni, w którą trzeba się zaopatrzyć. O stosunku do państwa nie było mowy. O propagandzie szerokiej nie myślano. Żyli razem w małej grupie, bo tak było wygodniej, bo pozwolono im żyć.

Upadek cesarstwa, komuna, a w końcu okrutne wprowadzenie porządku przez „wersalczyków“ niszczy całkowicie ten związek. Burżuazja zraniona po klęsce, kiedy spojrzała w twarz rozszalałej nędzy, wypęzłej z najciemniejszych nor rozpaczki, ludzkiej, wypęzła do cna wszelki ślad swobody zrzeczeń. Odważniejsi działacze, krzewiciele socjalizmu, komuniści bądź „giną pod kulami gwał-

**) Izba syndykalna z 1867 r. była krótką próbą wspólnego pożytku przedsiębiorców budowlanych wraz z robotnikami, a zaś podobna z 48 r. powstała i znikła razem z rewolucją. Zatrzymujemy się tylko na ważniejszych etapach.

tu" (De Seilhac), bądź ratują się poza granicami kraju. Sekcja francuska międzynarodówki zostaje rozwiązana, wszelkie organizacje robotnicze rozbite, z syndykatów nie pozostaje nawet związku dla przyszłości.

Lecz ta przerwa była krótszą. Gwałtowny rozwój przemysłu i handlu, jakim odpowiedziała na haniebną kontrybucję wojny, powołuje do życia i pracy szerokie warstwy ludności. Tym zastępom pracowników trzeba było coś ofiarować już chociażby w tym celu, ażeby odciągnąć od organizacji czysto politycznych. Bardzo możliwe, że uczciwsze jednostki bez ukrytej myśli chciały stworzyć jakąś ludzką formę istnienia dla pokrzywdzonych. Nie mógł się kraj odradzać bez udziału wielkiej masy pracowników, a Francja pamiętała z wielokrotnego doświadczenia, jak umie zemścić się długo milcząca niedola. Wreszcie, związki fachowe nie były nigdzie niebezpieczne, a dawne francuskie nie odznaczały się ani energią, ani żywotnością. Przeszkodą był zakaz prawa. Ominął je zreszcie wielki przeciwnik strejków, apostoł sądów polubownych, człowiek dobrej woli — Barberet.

Wychodząc z założenia, że rozwój i specjalizacja przemysłu wymaga rozwoju i specjalizacji robotników, zaczął on organizować wykształcenie fachowe. Tworzył więc małe grupy z ludzi poświęconych jednemu zajęciu. Uczył ich i wskazywał jak sami uczyć się i pomagać sobie powinni... Uczniowie byli pojętni... Zaczęli się sami kształcić, pomagać, organizować... Domyślamy się reszty. Już w 73 roku byłoby niemożliwością dla najdespotyczniejszego rządu przedsięwziąć jawne represje przeciwko syndykatom (De Silhac). Rosły one wraz z pomyślnością Francji, rosły jak grzyby po krwawym deszczu komuny, rosły o tyle prędzej, o ile większe przeszkody napotykał ścigany socjalizm. Do olbrzymiej kopuły międzynarodówki dorabiano podtrzymujące ją kolumny (Bebel). Rozsiane one były po całej Francji: jedne nazywały się syndykatami, drugie stowarzyszeniami samopomocy, inne kursami fachowemi. Około 75 r. liczono już 135 takich zrzeszeń! Nie połączone wspólną formą wobec prawa, silne były bujnym życiem konieczności. Jeden z najgłębszych przewrotów w organizacji pracy został dokonany. Zaczyna się okres wzrostu, rozwoju i jego przemian.

Nie trzeba sądzić, że pokojowe usposobienie syndykatów robotniczych w zaraniu ich życia było warunkowane bojaźliwością i wspomnieniami represji. Błąd ten popełniają dzisiejsi jego przeciwnicy, nawołując do walki póki czas, do zamknięcia drogi rosnącemu niebezpieczeństwu (G. Dru).

Przedewszystkiem impuls nadany temu ruchowi bądź za cesarstwa, bądź zaraz po komunie był naukowo-społeczny. Następnie socjalizm wówczas pokrył cały horyzont polityczny proletariatu. Organizacja fachów nie była metodą walki, bo walki jeszcze nie wypowiedano, nie dążyła do specjalizowania armji w ataku, bo tylko obrona przez samopomoc leżała w ich programie. Wystąpienia na zewnątrz były monopolem partji politycznych. Udoskonalenie wewnętrzne było troską ówczesnego syndykalizmu. Nie budził więc obawy, zyskiwał ufność praw istniejących.

Dlatego też w 1876 r. podczas wystawy powszechnej w Filadelfji, Izba deputowanych przyznaje 50 tysięcy franków zapomogi robotnikom, pragnącym poznać obcy przemysł. Nadchodziła

wtedy wystawa w Paryżu i słusznie przypuszczano, że inne kraje z kolei nadeślą do Francji swych delegatów. W każdym razie był to tryumf dla syndykatów quasi nielegalnych. Ośmielone, zwołują tego samego roku swój pierwszy kongres w Paryżu. Był to kongres „wdzięczny“. Ku ogólnemu zdumieniu jak rządu, tak i całego ogółu, nie wyłączając robotników, odbywa on się w najidealniejszym spokoju. Na 360 delegatów nie znalazł się ani jeden mówca, któryby wołał o krzywdach lub żądaniach proletariatu, nikt nie atakował, nie groził, nikt nie zapalał tłumy agitacją... Z dziwną równowagą i taktem były omawiane najdrażliwsze sprawy. Z pomiędzy ważniejszych kwestji poruszono: pracę kobiet, organizację wewnętrzną izb syndykalnych, porady prawne, praktykę i wykształcenie fachowe, kasy wsparć, inwalidów, ubezpieczeń i t. d. Wszystkie rezolucje nosiły charakter tylko mądrych życzeń. Nie uchwalono żadnej „hańby“, żadnego wyklęcia, nic, co mogłoby być nawet zupełnie naturalnem ze względu na stanowisko społeczne obradujących i ich poziom umysłowy. Do tego stopnia ów kongres był niezwykłym, że wywołał burzę i protest, ale — wśród robotników. Komuniści zbiegli do Londynu, wydali tam piorunującą broszurkę, w której słowami najostrzejszemi piętnują ugodowców: „Zapomnieli wszystko i wyrzekli się wszystkiego za 50 tysięcy franków“.

Tymczasem oni niczego się nie wyrzekali. Rząd był zachwycony formą obrad, ale nie zrobił żadnego ustępstwa. Niespełnione życzenia odzywają się więc głośnie. W dwa lata potem (78 r.) drugi kongres w Lugdunie już znacznie zmienia ton. „Syndykaty są dźwignią, która podważy stary świat“, woła Lombard. „Trzeba połączyć wszystkie syndykaty, stworzyć koalicję robotników, związanych własnym interesem. Jedna rzecz nas wiąże: prawo ograniczające swobodę prasy i zebrzań. Żądajmy, ażeby zerwano te łańcuchy“. Oprócz tego rodzaju żądań, cała energia kongresu wyładowała się na atakach przeciwko... katolicyzmowi! Przyczyna była prosta. Kler nabył przez stulecia praktyki tak wielkiej wprawy w tłumieniu niezależnego ruchu, że zwłaszcza na prowincji agitacja syndykatów spotykała w nim ciągły opór. Ponieważ jednak rząd miał swoje osobiste porachunki z klerem, przeto chociaż drugi kongres wzbudził pewne zaniepokojenie, nie wywołał w każdym razie rewizji istniejących praw. Zgadzać się na taki kierunek niezadowolonia robotników, nie przewidywano, że on szybko się zmieni. Dopomogły temu partje socjalistyczne.

W tym czasie syndykaty przedstawiały już poważną placówkę, którą warto było owoładnąć. Żywotność ich była niewątpliwą, przyszłość wielką. Zorganizowanym grupom pracowników bez określonej barwy politycznej brakowało drabnego impulsu, któryby je wyprowadził z abstynencji. Grunt był podatny, warunki sprzyjające, chociaż więc tylko o sposobność posiewu. I oto kolektywiści ze sławnym J. Guesde na czele, postanawiają urządzić kongres międzynarodowy w Paryżu. Spotkawszy się ze stanowczą odmową rządu, który obawiał się napływu z zagranicy burzliwego elementu, zbierają się nieoficjalnie w mieszkaniu prywatnem. Zostają wszyscy uwięzieni. Ze stanowiska rządu trudno sobie wyobrazić krok bardziej nierozważny i niepotrzebny. W jednej chwili, jednym zamachem socjalizm zdobywa ogromny zastęp zwolenników. Guesde jako męczennik, symbol krzywdy staje się kierownikiem i bożyszczem

syndykatów, które przechodzą w skład partji. Z bezbarwnych robią się płomiennymi, z bierności przechodzą do walki. Przeszłość jest zapomniana: syndykaty są już grupami politycznymi,

Właśnie nadchodzący kongres w Marsylii jest jedną wielką burzą. „Izby nasze będą teraz schroniskiem idei rewolucyjnych“, woła E. Roche. „Robotnik nie powinien niczego żądać od tych, którzy w imię swego interesu odmówią i jest nielogiczne, niemoralne, kontrrewolucyjne i głupie legalizować syndykaty, pokrywać je lakierem, oportunistycznym. Lepiej niech przepadną!“ Inny z mówców, jeden z doróżkarzy paryskich, rzuca prorocze słowa dla przyszłego kierunku: „Syndykaty powinny ogarnąć całe życie, zniszczyć pojęcie ojczyzny, która tylko służy do prowokowania ciągłej wojny, stworzyć związek wszystkich narodów przeciwko wszystkim władcom“. I w takim tonie trwają cały czas obrady. Kolektywizm, partja Guesde'go tryumfują na całej linii. Zbiegli komuniści z Londynu nadsyłają pochwalny adres. Możliwość jakiegokolwiek porozumienia znika na zawsze. To więcej niż wyzwanie: to już wojna.

Kongres paryski z lipca 80 roku posuwa radykalizm jeszcze dalej. Biorą udział rozmaite grupy anarchistyczne pod przewodnictwem J. Grave. Uchwalają program „natychmiastowego minimum“, który spotyka się nawet z oporem guesdzistów. Słowne wystąpienia doszły do ostatecznego kresu: pozostaje już tylko wybuch czynny.

(D. c. n.).

R. Dołęga.

Wspomnienie.

*Stary park z siecią ścieżek, bielejących w trawie,
Kędy w niszach szpalerów bogów lśniły ciała,
A w pysze swych klejnotów szły dostojne pawie
W mrok alei, gdzie cisza tajemnicą drżała:*

*Wszystko to zda się teraz, niby sen na jawie,
Który tchnęła w nas ongi złota słońca chwata,
Gdy wstydząc się, że twarz nam nagle sponsowiata,
Zapomnieliśmy nieraz o pustej zabawie.*

*Przyjaciółko z lat dawnych, królowo zaklęta,
Której strzeże groźniejszy niżli wszystkie smoki.
Z świata baśni dziecinnych — konwenans stuoki —*

*Jeśli płochę twe serce jeszcze mię pamięta,
Wiedz, że myślą przebywam nieraz tam w altanie,
Śniąc, że ze stron nieznanych ślesz mi powitanie.*

Aleksander Naworski.

Z mego notatnika.

Pro memoria.

„Gazeta Codzienna“ poleca uwadze swych czytelników następujący ustęp z artykułu naszego „Po wyborach wileńskich“: „Roznamiętniony kler, puszczonego samopas, pokazał, do czego jest zdolny, gdy żaden hamulec go nie kępuje“.

Takich rzeczy nie można zapominać — z patosem konkluduje „Gazeta Codzienna“.

I owszem. Oby zdanie powyższe utrwaliło się jaknajmocniej w pamięci ogółu.

A że twierdzenie to nie jest bezpodstawne, dowodem może służyć wypadek następujący, który opisuje „Viltis“, a który nie napotkał się dotychczas z zaprzeczeniem.

W d. 7 b. m. w kościele św. Jakóba odbywało się uroczyste nabożeństwo. Sumę celebrował ks. kanonik Sawicki, do wygłoszenia kazania zaproszony został obrany na wyborcę z Wilna ks. Stanisław Maciejewicz. Po skończonem kazaniu, z chóru dał się słyszeć donośny głos:

— Niech żyje poseł ksiądz Maciejewicz!

Okrzyk ten rzucił sam proboszcz kościoła św. Jakóba. Słyszając go, tłum zebrany w kościele począł krzyczeć:

— Niech żyje, niech żyje poseł!

Jedni krzyczeli „wileński“, drudzy „polski“. Powstał w kościele hałas, nabożeństwo zamieniło się w wiec polityczny...

Czy i powyższe zajście „Gazeta Codzienna“ poleci uwadze swych czytelników?

W każdym razie zanotować je, jako cenny przyczynek — nie zawadzi.

Słowa a czyny.

Kwestja rozwoju i oparcia na mocnych podstawach polskiego handlu i przemysłu należy bezwarunkowo do zagadnień niezmiernie żywo i stanowić powinna nieustającą troskę społeczeństwa naszego. Kooperatywy, tani kredyt, organizacje kupieckie i rzemieślnicze są niezawodnie najskuteczniejszym środkiem, prowadzącym do celu.

Niestety z popularnego hasła skorzystały żywioły demagogiczne, które użyły go do budzenia w społeczeństwie instynktów nienawiści rasowej i rozdmuchiwania antagonizmów narodowościowych.

„Gazeta Codzienna“ po swojemu pojęła zadania popierania swojskiego handlu i przemysłu, i zamiast kłaść nacisk na pracę twórczą, uderzyła w ton jęczącego antysemityzmu, zalecając bojkot bezwzględny żydów.

W tym celu wyznaczyła wtorek ubiegły jako „Nasz dzień“, w którym ludność polska miała wykazać swą solidarność narodową i załatwiać swe interesy wyłącznie u swoich.

Pomijając naiwność tego projektu, ze względu na złożoność stosunków ekonomicznych i stan zaczątkowy polskiego handlu i przemysłu — trudno nie widzieć w chybnym pomysle cech wyraźnie antyspołecznych. Prasa żydowska podkreśliła z naciskiem tę właśnie stronę. W rezultacie wdały się najniepotrzebniej w tę sprawę władze, które dopatrzyły się tu dążności podburzania jednej części ludności przeciwko drugiej, i „Nasz dzień“ został odwołany.

Niedojście do skutku zamierzonej manifestacji ekonomicznej, wobec presji władz, nie przesądza bynajmniej jej jałowości i szkodliwości.

Lepiej by uczyniła administracja, gdyby w tę sprawę nie wtrącała się wcale. Rzeczywistość nie omieszkałaby wykazać wymownie kompromitacji tego projektu.

Przekonaliby się nasi antysemiści klerykalni, że za pomocą agitujących odezw nie sposób zmienić skomplikowanej struktury ekonomicznej, że do tego potrzeba celowych wysiłków i szeregu lat twórczej pracy.

Kompromitacja haniebna i tak jednak bynajmniej nie ominęła „Gazety Codziennej“.

Numer jej wtorkowy posiada wyjątkową ilość ogłoszeń i rzecz dziwna, wszystkie niemal pochodzą od firm żydowskich...

Tak zmanifestowała „Gazeta Codzienna“ w praktyce hasło bojkotu handlu żydowskiego...

Medice, cura te ipsum!

Licz.

TEATR ZIMOWY.

Grano „Tresowane dusze“ Zapolskiej. Wprawdzie firma literacka autora należy do pierwszych w Polsce; wprawdzie popularność sztuk Zapolskiej przeszła dawno granice, gdzie się o pisarzu wzmiankuje uprzejmie przez „pan“, lub — „pani“: wymienia się tout-court... Zapolska, tak jak przywykliśmy mówić: Fredro, lub Bałucki; wszystko to jednak nie zdołałoby chyba zapełnić po brzegi widowni, zwłaszcza, że premierę spotykano gdzieindziej w sposób mało przychylny, — gdyby nie to, że była niedziela, dzień kasowy, i gdyby nie zainteresowanie się sztuką w sposób specyficzny.

Stosunki dziennikarskie!

Satyra na świat dziennikarski — to wpłynęło po części na publiczność, chodzącą u nas do teatru z pewną orientacją.

Nie mówię, oczywiście, o widzach przygodnych, zajmujących w naszym teatrze fotele pierwszego rzędu.

A więc urok tematu?

Państwo w państwie. Na szerokim świecie — ster opinii publicznej, pani wspaniałomyślna i nielitościwa, czasem bezinteresowna, częściej korupcyjna — moc, potęga: prasa.

Sztuka Zapolskiej maluje rzeczy Wilnu dotychczas obce; obce — bo choć posiadamy już pism sporo, prasy w całym tego słowa znaczeniu, jeszcze nie posiadamy. Wątki noworodek, któregośmy tu, na Litwie i Białejrusi przywykli mianować prasą — trąci jeszcze zbyt świeżo rumiankiem i.. (hunny soit, qui mal y pense) bukietem wywaru gorzelniczego.

Złe to, o ile chodzi o niewypracowaną dotychczas dziedzinę społecznych stosunków; dobrze — skoro nie znamy wydawców, kupujących żywym towarem zasad.

Zapolska w „Tresowanych duszach“ przemawia ognistymi tyradami coraz to przez inne usta. Wyprowadza kolejno czarne charaktery i przeciwstawia im dusze białe. Tak białe, że od pierwszej niemal sceny wiemy, iż dziennikarz Sieklucki, — to uczciwy chłop, a jego łamanie się w sobie

i zmagania — to tylko niezbędny passus, potrzebny, by potem cnota zajaśniała tem wspaniałej.

Całość „zrobiona“ jest z tą rutyną i doskonałą znajomością sceny, jaka cechuje Zapolską.

Śluchamy więc uważnie do końca, choć nie możemy się obronić uczuciom lekkiego niedowierzania i niesmaku: nazbyt to wszystko robione, jaskrawe, obliczone na prymitywny efekt.

P. Klimontowiczowi (Siekluckiemu) dzielnie zwyciężającemu ciemne knowania swego szefa, bito rześiste oklaski.

Dziś, gdy piszę po paru tygodniach te słowa i kontroluję moje wrażenia, widzę plastycznie tylko p. Czarnowskiego (Brauna), który w postać zahukanego i ciemnego robotnika wlał tyle prawdy, potrafił w typie swym trwać tak konsekwentnie, iż o nim jednym da się powiedzieć, iż dał doskonałą mocną kreację. W ogromnej obsadzie sztuki brały udział prawie dwie trzecie towarzystwa.

Mam wrażenie, że przejęskrawione „Tresowane dusze“ zyskałyby może, gdyby gra, naogół dobra, była nieco dyskretniejszą.

* * *

Mały, ale wyborny koncert gry naszych artystów podziwialiśmy w doskonałej krotchwili „Tylko sen“.

Lekki, sprytny uśmiech, który owija się w sztuce dokoła kwestji wierności małżeńskiej, znalazł trafny wyraz w interpretacji wszystkich — z jednym wyjątkiem — artystów.

P. Arkawinówna sprawiła nam niespodziankę: miała tyle finezji, humoru i wdzięku, że aż podziw brał nad wielostronnością talentu naszej bohaterki.

P. Rommówna miała drobną, jednoaktową rolę. Potrafiła wyzyskać ją należycie, grając ładnie i wykwinnie: spodobała się ogólnie.

Pp. Klimontowicz, Norski, Strycharski (ten ostatni, jak zawsze, doskonale i interesująco ucharakteryzowany) byli wyborni. Raził jedynie p. Sarnowski. Niewiem. Może mu ta rola nie odpowiada. Był... chropowatym mocno, że nie powiem więcej.

Dziwimy się Gizeli...

* * *

Ładnem echem starego, a jednak zawsze otwartego sporu jest „Psyche“, jednoaktowa sztuka Wł. Renarda. Epizod z życia rzeźbiarza, stojącego wobec dylematu szczęścia zakochanej w nim dziewczyny — i kategorycznego nakazu talentu, który mu każe iść na własną wielką drogę, na drogę artysty: do sztuki, do celu, choćby za cenę cudzego bólu.

Autor rozwiązuje klasyczne „czy wolno?“ — w sposób twierdzący. Końcowy akcent dramatyczny wypływa z subiektywnego zgola ujęcia sprawy; wypadnie przyznać jednak, że sztuka zyskuje, zamykając się niejako pod welonem smutku, z którym jest jej do twarzy. W szkicowej, ale dosadnej charakterystyce daje nam p. Wł. Renard wyborną galerję typów. Ruch i rysunek postaci świadczą o talencie autora, który śnać posiadał trudny sekret sceny i czuje ją szczerze.

Zespół wykonawców — z p. Pawłowskim w roli głównej — był bez zarzutu.

* * *

Warszawianka. Pieśń z roku... Rzecz dziwna. Za życia jeszcze był Wyspiański tym mo-
carzem, któremu, zda się, czas, ani ludzie, nie do-
dadzą nic z wielkości i sławy... Za życia urosły
mu skrzydła. A jednak skrzydła te rosą mu
wciąż, i olbrzymieje i potężnieje i góruje tak, że
cała Polska społeczna zdaje mi się być czasem
w cieniu myśli jednego człowieka. Wyspiański
odszedł chyba po to, by nam o Duchu wieść obła-
kać, rozżarzyć, wzmocnić!

W każdym dziele, które zostawił, jest moc.

W każdej pieśni, którą był wyraził w mil-
czeniu, jest czar.

W każdym cierpieniu, które nam przypom-
niał—jest krew.

I taką, taką właśnie: mocy, uroku i krwi
pełną jest „Warszawianka“.

Warszawianka. Pieśń z roku...

Grają się nam jednocześnie trzy dramaty:

Na scenie — pierwszy — dramat serca.

Na scenie — i za sceną — tam, gdzie śnieg na
krew świeżą pruszy, skąd głucho idą huk i armat
i głosy bitwy — drugi — ogromny dramat narodu.

Nadewszystkiem — trzeci — dramat myśli.

I są podobnie w „Warszawiance“ jakby per-
spektywy trzy, trzy plamy.

Marja, cudowna dziewczyna — wdowa po za-
bitym kochanku, żałosna płaczka narodowa —
pierwsza.

Ogromny, posagowy pan przedziwny, silny,
posępny — generał Chłopicki. A za nim sztab.
Statysty... Wodzowie, armja cała... Ułani! Czwart-
cy... Olszynka. Polska.

To perspektywa druga.

Zaś trzecia?

A trzecia — to śnieg, co pruszy, to chmury
na szarem niebie, i wizja orłowych lotów i tęskno-
ta i żal, który się pyta o przyszłość. Ta trzecia
perspektywa to tajemnica, a przywołał ją Wyspiań-
ski i mógł ją przywołać tylko Wyspiański. I tyl-
ko on mógł zadać pytanie, które każdy z nas sły-
szy, choć go nikt próżno nie wymówił.

Jest rzeczą zbytęzną rozwodzić się o tem,
jak wystawiono, jak grano „Warszawiankę“.

Zupełnie beznadziejnym, myślę, byłoby wska-
zywanie, że djalog sceniczny nie powinien wry-
wać się szorstko z tła aktorów i statystów, któ-
rzy mogą „grać“ rozmowę lepiej, lub gorzej, wy-
dobywać poszczególne momenty z większym, lub
mniejszym kunsztem; nie sądzę by najgienjalniej-
szy reżyser potrafił tak wcielić w scenę nierealne
perspektywy sztuki, by osiągnąć coś więcej, niż
banalną poprawność.

Nie sądzę dalej, by mógł być w sztukach
Wyspiańskiego jakiś kres, na którym najinteligien-
niejsza reżyserja utrwaliłaby doskonałość.

Nie wierzę, by poza dobrym, lub jeszcze le-
pszym pomysłem dał się osiągnąć sukces zupełny.
Obojętne czy reżyserować będzie utalentowany p.
Knake-Zawadzki, czy, przypuśmy, chociażby
gienjalni Reinhardt lub Stanisławski.

Lecz twierdzą zarazem, iż wystawiając Wys-
piańskiego, dając go na scenie można mieć maxi-
mum złego smaku, głupoty i ograniczenia. a widz
może wyjść z teatru, przebity wrażeniem, jak
złotą strzałą.

Tu już jest tajemnica gienjusza Wyspiańskie-
go, o rozwiązanie której kusić się nie będę.

Stąd też płynie, iż niektórzy reżyserzy uwa-

żają Wyspiańskiego (zupełnie słusznie) za nie-
wdzięczny materiał sceniczny.

Stąd też płynie, że inni reżyserzy czczą
Wyspiańskiego (zupełnie słusznie) wkładając dzie-
ła jego do pereł repertuaru.

W ocenie teatralnej mogę sądzić jedynie
o sumiennosci pracy i talencie — więc powiem,
że było jedno i drugie na przedstawieniu „War-
szawianki.“

Zdzisław Kleszczyński.

MUZYKA.

Koncerty symfoniczne.

Po rocznej przerwie znów rozpoczęła swą
działalność wileńska orkiestra symfoniczna, tym
razem już samodzielnie, jako zrzeszenie muzyków
na własną rękę prowadzących sezon. Tego rodza-
ju udziałowe organizacje zwykle udają się pod
względem materialnym, natomiast oglądanie się
przedewszystkiem na jaknajwiększe dochody na-
tychmiastowe, wynikające z braku stałego oparcia
finansowego, prowadzą do zaniku idejowości w pro-
wadzeniu kampanji artystycznej. Stąd schlebianie
gustom publiczności, zamiast planowego kształce-
nia ich oraz szukania wykonawców nietyle dobrych
ile tanich lub silnie protegowanych. Słowem —
obniżenie poziomu artystycznego.

Należy zatem życzyć wileńskiej orkiestrze
symfonicznej, aby znalazła takie oparcie czy to
ze strony osób prywatnych, czy też której z in-
stytucji miejskich.

Bądź co bądź z radością należy powitać sam
fakt wskrzeszenia tak kulturalnego czynnika, ja-
kim jest stała orkiestra symfoniczna bez względu
na całokształt jej działalności. Wileńska orkie-
stra symfoniczna na pierwszym swym koncercie
przedstawiła się jako ciało zbiorowe karne i pełne
zapału, mogące przy planowej pracy wyrobić się
na wybitny zespół artystyczny. Obsada poszcze-
gólnych grup instrumentów jest zupełnie zadawal-
niająca za wyjątkiem fagotu i waltorni. Grupa
instrumentów rżniętych brzmi dobrze, a to jest za-
wsze podstawą brzmienia orkiestry. Pod tym
względem orkiestra obecnie stoi wyżej, niż za
swego poprzedniego istnienia.

Program koncertu, oprócz symfonji f-moll
Czajkowskiego, zawierał rzeczy mało wartościowe
i był zestawiony z materiału nutowego znajdują-
cego się pod ręką. Hebrajska rapsodja Zołotare-
wa odznacza się banalnością pomysłów, prymi-
tywną techniką kompozytorską i nikłością instru-
mentacji, w której nadużywanie *triangla* wywiera
niesmaczne wrażenie. Dwie części suity Stojow-
skiego również nie należą do rzeczy wybitnie
wartościowych, aczkolwiek zdradzają dobrego kom-
pozytora (z suity najlepszą jest pierwsza część
w formie tematu z warjacjaami).

Ckliwo-banalny drobiazg Massenet'a zawdzię-
czał powodzenie swej drobnej formie. Jest to
znany objaw, iż publiczność nużą prędko wielkie
formy i dlatego z radością, jako odpoczynek, wi-
tany jest każdy nawet bezwartościowy drobiazg,
nie wymagający nakładu pracy mózgowej.

Uwertura „Rok 1812“ jest jednym z najslab-
szych utworów Czajkowskiego, jak zwykle utwo-
ry okolicznościowe.

Prawdziwie cennem dziełem jest natomiast IV symfonia. Pierwsza część, utrzymana w ponurym kolorycie, pisana rzadko spotykanymi u Czajkowskiego, szerokimi okresami muzycznymi była traktowana zachłodno i bez dostatecznego opanowania trudnego rytmu.

II część — poprowadzona była szlachetnie i utrzymana w nastroju — w trzeciej zbyt mało wycieniowano *pizzicato*. Finał, słabszy jak finały wogóle, a u Czajkowskiego w szczególności — wykonany był z rozmachem i wystawił w dobrym świetle kwalifikacje orkiestry.

Dyrygent p. Galkowski zrobił duże postępy: widać już pewne umiarkowanie w ruchach oraz dobrą znajomość partytury.

H. Łopuska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Bolesław Leśmian *Sad rozstajny*. (poezje) str. 183 „Pod znakiem poetów“ wydawnictwo Jakóba Mortkowicza. Warszawa 1912.

Leśmian należy do rzędu tych poetów, którzy kiedyś skupiali się pod sztandarami „Chimery“ Miriama. Fakt ten zaznaczam umyślnie, gdyż charakteryzuje on poniekąd fizjonomję pisarską. Odrazu bowiem wiadomo, że mamy do czynienia z poławiaczem rzadkości, z człowiekiem, który do sztuki swojej przyszedł przez hipertroję kultury. B. Leśmian jest właśnie wszechwładnie opanowany przez prerafinowanie, jego poezja ma w sobie coś z malarskich przepychów wenecjańskich mistrzów, coś ze starych rzeźbionych kamei. Czasami tylko, wytryśnie proste rozkoszne źródło odczucia i wyrysuje przed nami „Step“ lub opowiadanie o „Głuchoniemej“. Częściej zabrzmieniuta „Oddaleńców“, którzy są najbliżsi sercu i marzeniom Leśmiana. Bo choć „nikt w nich nie pozna teraz wesółych rybaków“, zwinnych nurków, rabusiów pereł i koralu“ — oni sobie z tego drwią.

Gdyż

...nocą sen, płonący każdemu ku chwale.
Da im pić z tego źródła, skąd nie pili zrana...
Wtedy warga ich blada, snem ucałowana,
Wyrzuca szept — perły i jęki koralu!

Jadowita a szczerą tego snu uluda
Tak im duszę przez usta dobywa boleśnie!
Raniąc perły, — koralu — śnią jak morskie
[cuda,
Którym dano być sobą na chwilę i we śnie...

W poetyckim poglądzie na świat u Leśmiana ów „sen płonący każdemu ku chwale“ jest zasadniczą kategorią. Po przez ten sen widzi on wszystkie życia wartości i sądzi, że, jeżeli „Bóg ma serce, — to ono dla nich pęknie“. W sen swój wplata Leśmian jeszcze niezdecydowanie legiendę, czarowną bajkę „o dwóch zwierciadłach“.

Do najlepszych utworów zbiorku należy cykl o „aniolach“, oraz takie subtelne i delikatne pyłki poetyckie, jak „Wobec morza“, „nieznanemu Bogu“, „Tarcza“ i „Ballada o dumnym rycerzu“. Przy poezjach Debickiego jest to drugi tomik wydawnictwa J. Mortkowicza, który zasługuje w zupełności na przeczytanie. Szata zewnętrzna wydawnictwa estetyczna. Druk wspaniała i jak

na nasze stosunki zupełnie rzadki. Miłośnicy poezji napewno będą z tego tomiku utworów Leśmiana zadowoleni. Zachęci on bowiem najwybredniejsze gusty nawet snobów literackich do sumiennego go przestudjowania.

Kazimierz Sędziuk. *Niepotrzebny*. (dramat) str. 103. Warszawa 1912. Nakładem księgarni M. Borkowskiego.

Pan Sędziuk jest jeszcze młodym autorem. Z nazwiskiem jego spotykam się poraz pierwszy. A jednak już z tych pierwocin literackich widać, że posiada on talent. Rozumie się, że wiele można mu zarzucić. Ale nie o to chodzi. Interesuje mnie w każdym młodym autorze, czy posiada on nerw literacki, czy jego praca nosi na sobie piętno tego czegoś, co jest nawskróś irracjonalne, a co nazywamy talentem.

Dramat p. Sędziuka posiada fabułę bardzo prostą ale tętnącą odczuciem ludzkiej niewoli. Gdzieś w dusznej izbie robotniczej gnieźdzą się ludzie, których przybija do ziemi nędza. Na tle izby smutnej i dusznej rysuje nam autor duszę człowieka, co uciekł z Sybiru z tęsknoty do swoich. Nie spotkał jednak niczego, za czem tęsknił. Wrócił na strapienie dla żony, dla córki, której dziecinne rączyny splatały mu duszę a teraz urosły w groźby i przekleństwa. Czuję na każdym kroku, że jest niepotrzebny. Podsyca jednak to przeświadczenie jeszcze wspomnienie, że uciekając rozwalił komuś głowę w lesie, by przetrwać głód, by dobrnąć do swoich. Smutna jest tragedia tego niepotrzebnego człowieka. W dzień więc wesela swojej córki, by nie ciążył nikomu, skacze z piętra na bruk. W ten sposób chce przerwać pasmo swojego męczeńskiego życia.

Dramat p. Sędziuka posiada kilka scen o dużej plastyce. Niby że pomysł sam jest trochę melodramatyczny, ale tem niemniej w opracowaniu autora przedstawia się dosyć interesująco.

Miejmy nadzieję, że przyszłość stworzy z pana Sędziuka dramaturga.

Zresztą — po co się bawić w przepowiednie? Czas rozwiąże ten gordyjski węzeł. Przerodzi wschodzące pączki kwiecia w bujny kwiat. A może zmrozi je w samym zaraniu! Nie chciałbym tego, dlatego miast wytykać błędy, wolę ogrzać je uczuciem dobrej woli.

Eustachy Czekalski.

Odpowiedzialność posłów.

Dnia 15 października na ogólnym zebraniu departamentów kasacyjnych z udziałem departamentu pierwszego Senatu rządzącego były rozważane kwestje, które wniósł do rozpoznania minister sprawiedliwości: 1) czy posłowie do Dumy Państwowej podlegają odpowiedzialności karnej za zdania i opinie, które wypowiadają na posiedzeniach Dumy Państwowej lub jej wydziałów i komisji, chociażby nawet były one wyrażone w interpelacjach, zwracanych do rządu, jeżeli w wymienionych zdaniach i opiniach zawarte są cechy działalności występnej; 2) czy posłowie do Dumy Państwowej podlegają oddaniu pod najwyższy sąd karny za wszystkie działania występne, których dopuścili się podczas wykonywania lub też z powodu wykonywania obowiązków ich w charakte-

rze posłów do Dumy Państwowej lub też tylko za te ich działania występne, które według praw karnych uznawane są za przestępstwa służbowe, przewidziane w rozdziale 5 kodeksu karnego; 3) jeżeli posłowie do Dumy Państwowej podlegają najwyższemu sądowi karnemu tylko za te przestępstwa, które według praw karnych uznawane są za przestępstwa służbowe, to czy powinny być skierowywane w trybie, wskazanym w artykułach od 87—90 statutu Rady Państwa do opinii pierwszego departamentu Rady Państwa, również sprawy, dotyczące innych działań występnych, których dopuścili się posłowie do Dumy Państwowej podczas wykonywania lub też z powodu wykonywania obowiązków ich z tytułu tej godności; 4) jeżeli posłowie do Dumy Państwowej podlegają oddaniu pod najwyższy sąd karny za wszystkie działania występne, których dopuścili się podczas spełniania lub też z powodu wykonywania obowiązków z tytułu godności posłów do Dumy Państwowej, to: a) czy należy stosować postanowienia artykułów 91, 92 i 95 statutu Rady Państwa i artykułu 1112 ustawy postępowania karnego (według wydania z r. 1906) o udziale w postępowaniu dozoru prokuratorskiego również w stosunku do tych przestępstw, które podlegają, gdy chodzi o osoby prywatne, prywatnemu trybowi dochodzenia, czy też sprawy te powinny być prowadzone z zachowaniem przepisanych przez ustawę postępowania karnego wyjątków dla spraw z oskarżenia prywatnego; b) czy mogą być sprawy tego ostatniego rodzaju umarzane polubownie, gdy dotyczą działań występnych, których dopuścili się posłowie do Dumy Państwowej podczas spełniania lub też z powodu wykonywania przez nich obowiązków ich z tego tytułu.

Senat rządzący, rozważywszy kwestje wymienione, orzekł, że kwestję pierwszą należy rozstrzygnąć w sensie twierdzącym; w kwestji drugiej Senat uznał, że posłowie do Dumy Państwowej podlegają oddaniu pod najwyższy sąd karny za wszystkie działania występne, których dopuścili się podczas spełniania lub też z powodu wykonywania obowiązków ich z tytułu godności posła do Dumy Państwowej; trzecią kwestją, wobec orzeczenia co do kwestji drugiej, uznał za uchyloną. Co do punktu a), kwestji czwartej, Senat rządzący wypowiedział się w tym sensie, że postanowienia artykułów 91, 92 i 95 statutu Rady Państwa i artykuł 1112 ustawy postępowania karnego (według wydania z r. 1906) o udziale w postępowaniu dozoru prokuratorskiego, mają być stosowane i do spraw tych działań występnych posłów do Dumy Państwowej, które podlegają gdy chodzi o osoby prywatne, prywatnemu trybowi dochodzenia. Nakoniec, co do punktu b), kwestji czwartej, Senat rządzący uznał, że czwarta w tym punkcie kwestja ma być rozstrzygnięta przecząco.

Omawiając wyjaśnienie powyższe „Riecz“ utrzymuje, że Senat przekroczył zakres swej kompetencji, wkraczając w dziedzinę działalności instytucji ustawodawczych.

„Jak wiadomo, — pisze „Riecz“ — Senat uznał, że posłowie odpowiadają przed wyższym sądem karnym nawet w sprawach, wszczętych w drodze prywatnej. Lecz aby wyjść z powstałej stąd wątpliwości, Senat uznał zarazem za konieczny udział w tego rodzaju sprawach prokuratora i odrzucił pogodzenie się stron, dopuszczane w takich sprawach. Aby sądzić, o ile to jest zgodne z ustawami, dosyć przypomnieć, że w dn. 24 lutego r. b.

minister sprawiedliwości wniósł do Dumy projekt zmiany przepisów istniejących o wszczynaniu i procedurze spraw karnych na podstawie skarg prywatnych. W liczbie tych zmian, między innymi, zaprojektowano, jako wyjątek z istniejącego ustawodawstwa, znieść pogodzenie się stron i wprowadzić udział prokuratury w sprawach o oszczerstwo, o ile przestępstwo to zostało popełnione przez członków instytucji ustawodawczych lub względem tych ostatnich.

„Tym sposobem pół roku temu samo ministerjum sprawiedliwości sądziło, że zmiany, o których mowa, stanowią względem prawa wyjątek i mogą być wprowadzone nie inaczej, jak w drodze ustawodawczej. Instytucje ustawodawcze nie zdążyły rozważyć tego projektu, który spoczywa w archiwum Dumy. Pomimo to jednak, w pół roku później Senat, jak gdyby nigdy nic, wprowadza te zmiany w drodze interpretacji prawa. Czyż wobec tego trzeba jeszcze innych jakichkolwiek dowodów, że Senat, którego wysokim obowiązkiem jest ochrona istniejącego ustawodawstwa, sam przekroczył granice prawa, przywłaszczając sobie władzę, która należy wyłącznie do instytucji ustawodawczych. Jeżeli wziąć pod uwagę, że chodzi o zmiany w instytucji Dumy Państwowej, co do której Duma jest pozbawiona inicjatywy ustawodawczej, to jasną jest rzeczą, że Senat przywłaszczył sobie funkcje ustawodawcze.

„Nie ulega wątpliwości, że Senat użył środka, którego działanie jest bardzo silne, lecz gdy sobie postawiono takie wysokie zadanie, jak „uwięczenie gmachu“, to cel oczywiście uświęca środki“.

NA WIDNOKRĘGU.

Turcja europejska, osaczona przez cztery państwa bałkańskie, wydaje się już bliską upadku. Dotychczas losy wojny zwracają się przeciw niej w sposób tak fatalny i bezwzględny, że pomimo zapasów, które Turcja ma jeszcze w armji azjatyckiej, trudno przewidywać, aby wojna zakończyć się mogła pomyślnie dla państwa otomańskiego.

Być może, że Europa nie pozwoli w tej chwili jeszcze na zupełne zburzenie Turcji, że położy kres zbyt daleko idącym aspiracjom państw, które zwycięstwa odnoszą. Ale tak, czy inaczej, oczekiwać trzeba, że Turcja wyjdzie z tej kampanji nie tylko osłabiona, lecz terytorjalnie zredukowana. I nie na tem koniec. Jeżeli wojna obecna nie zakończy się zupełnym rozbiorem Turcji, to nawet po tej likwidacji pozostanie poważne przesilenie, które czekać będzie na stosowne rozstrzygnięcie w chwili dla Europy przyjaźniejszej. Z całą stanowczością przewidywać już trzeba, że w każdym razie panowanie muzułmanów w Europie jest bliskie kresu.

Przyczyny upadku Turcji europejskiej objaśnia „Nowa Gazeta“ na podstawie wiadomości, pochodzących z poważnego źródła dyplomatycznego.

Komentarze „Nowej Gazety“ nie dotyczą ostatniej chwili, lecz odnoszą się do pierwszej połowy r. 1910. Autor miał wtedy sposobność bezpośredniego poinformowania się o stosunkach tureckich u jednego z bardzo wybitnych dyplomatów europejskich, przedstawiciela jednej z ambasad w Konstantynopolu.

Rozmowa toczyła się w wagonie pociągu, biegnącego z Riviery do Monachjum, skąd dyplomata wracał przez Wiedeń na swe stanowisko do Konstantynopola.

Był to moment, w którym już po rewolucji i po kilku zmianach ministerjalnych stosunki w Turcji poczęły się znowu komplikować. Dyplomata wywodził, że Turcja oddawna jest na wulkanie, którego pierwszym wybuchem była rewolucja, a drugim może być wojna państw bałkańskich. Rewolucja, jakkolwiek zorganizowana przez młodoturków, dążących do kulturalnego zreformowania państwa otomańskiego, nie zdołała załatwić najdonioślejszych konfliktów wewnętrznych. Konstytucja turecka zgoła nie uwzględniła interesów ludów poszczególnych, żyjących w ucisku w Albanii i Macedonji. Młodoturcy chcieli zorganizować państwo na podstawach nowoczesnych, ale z zupełnym pominięciem kultury narodowej tych ludów. Miało to być „konstytucyjne zotomanizowanie“ wszystkich poddanych sultana. Chciano ich zniewolić do mówienia po turecku i poczucia się w sobie tylko turkami. Konstytucja taka nie gwarantowała tedy żadnych wolności narodowych, ani nie dawała rękojmi, iż chrześcijanie nie będą ciemiężeni przez muzułmanów.

Prawda — mówił dalej dyplomata — iż nadanie autonomji narodowych poszczególnym ludom byłoby w Turcji problemem politycznym niezwykle trudnym, albowiem ludy te nie mają ściślejszych terytorjalnych rozgraniczeń i żyją pomieszani na wspólnych ziemiach, Lecz nie zmienia faktu, że musi nastać znów era chronicznych kontrrewolucji w Albanji i Macedonji.

Dyplomacja europejska czuwająca nad położeniem w Konstantynopolu, jest w jednym punkcie zgodna — wyjaśniał dalej dyplomata. Należy dopóty tłumić antagonizmy, póty to jest możliwe. Skoro bowiem pożar raz wybuchnie, trudno będzie go zlokalizować. Już obecnie są w pokątnym zastrzeżeniu różnice interesów poszczególnych mocarstw, a w szczególności Austrii z jednej strony, a Rosji z drugiej. Ale i Niemcy — może nawet najbardziej one — mają interes w utrzymaniu status quo w Turcji. Nie mogą w żadnym wypadku rościć sobie pretensji do przybytków terytorjalnych, posiadają w tej chwili w Turcji olbrzymie kapitały i rozporządzają niezwykle korzystnym wpływem na kierunek rządów w Konstantynopolu. Na ogół wszakże cała dyplomacja pragnie gasić płomień, które tu i owdzie stale wybuchają. Na długo tego kunsztu dyplomatycznego już nie starczy. Sytuacja coraz się wikła, sprzeczności rosną. O ile polityka Turcji konstytucyjnej nie będzie zwrócona do takich reform, które uczynią zadość interesom narodowym ludów uciemiężonych, rozpocznie się okres wojen najpierw z państwami bałkańskimi, a potem okres rozbioru Turcji.

Co wyniknie z procesu politycznego, który wyłonić się będzie musiał z likwidowania Turcji europejskiej, tego żaden dyplomata w tej chwili nie określi. Tyle tylko powiedzieć można, że wszystkie mocarstwa uważałyby to za największe nieszczęście świata, gdyby ten proces miał doprowadzić do wojny europejskiej. Dlatego już teraz tworzą się porozumienia, dążące do takiej równowagi sił, aby w żadnym wypadku do wojny między mocarstwami nie dopuścić.

To było powiedziane w końcu kwietnia roku 1910. Dziś sprawdza się przepowiednia dobrego znawcy spraw dyplomatycznych.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Zwycięstwo demokratycznego kandydata w Stanach Zjednoczonych jest zdarzeniem epokowego znaczenia, zwłaszcza, że przeciwnikami jego byli ludzie tego znaczenia co Roosevelt i Taft. Dr. Woodrow Wilson, gubernator stanu New Jersey, liczy lat pięćdziesiąt sześć i należy do najwybitniejszych postaci życia publicznego społeczeństwa Ameryki. Przed niewiele laty poświęcił się jedynie pracy organizacyjno-naukowej. Był autorem popularnej wielotomowej ilustrowanej historii Stanów Zjednoczonych i wielu pism z zakresu ekonomji politycznej. Jako prezydent s'ynnego uniwersytetu Princeton w New-Jersey nad Delaware, poświęcił się funkcjom administracyjnym około organizacji tej instytucji naukowej i stoczył głośną walkę z prof. Westem, dziekanem wydziału filozoficznego w tym uniwersytecie, piętnując jego ekskluzywny i arystokratyczny snobizm i domagając się reform natury demokratycznej. Walka ta przybrała charakter polityczny i zbliżyła Wilsona do partji demokratycznej, która ofiarowała mu stanowisko gubernatora stanu New-Jersey. Wilson przystąpił do stanowczej walki z nadużyciami partyjnemi i wzbudził podziw energją, jaką przytem okazał. Działalność Wilsona ożywiona była gorącym społecznym dla ekonomicznie uciśnionych mas, a zadania polityczne traktował jako moralny obowiązek służby ideałom życia. Niedolę ogółu i niesprawiedliwość społeczną odczuwa jako osobiste cierpienie.

W dawniejszych latach okazywał Wilson antypatję dla przywódcy demokratów Bryjana. Powoli jednak, zetknąwszy się osobiście z Bryjanem, pojednał się z nim i przejął się jego hasłem, że wady demokracji leczyć trzeba przez pogłębianie demokratycznego ducha i że tylko oddanie wszelkich rozstrzygnięć instynktowi świadomości ludowej szerekich mas może przynieść uzdrowienie.

Kandydaturę Wilsona na prezydenta Stanów podniesiono już w roku zeszłym. Entuzjastyczny jego wielbiciel Harvey w tajemnicy przed Wilsonem zyskał środki na kampanję od trustu naftowego, który kokietował demokracją. Wilson dowiedziawszy się o tem, sam pierwszy przeciwko temu zaprotestował. Jest to indywidualność nie uznająca kompromisów, poważna, gruntowna, głęboka, samodzielna, która nie da się kierować stronnictwu, ale sama niem kieruje. Bryjan oczarowany zaletami Wilsona postanowił wyrzec się własnej kandydatury i 2 lipca po czterdziestu czterech głosowaniach bez rezultatu na kongresie partyjnym w Baltimore przeprowadził wreszcie kandydaturę Wilsona przeciwko potężnej kandydaturze popularnego Clarka. Klęska partji republikańskiej jest niebywała. Przegrana Roosevelta tłumaczy się nienawiścią trustów, które wolały już nawet demokrację, mimo, iż nie mogą po nim oczekiwać żadnych ustępstw.

Stwierdzono, że nigdy dotychczas kandydat na prezydenta Stanów nie otrzymał tak wielkiej liczby głosów, jak Wilson.

KRONIKA.

= Jan Gall.

Zmarł d. 16 b. m. we Lwowie zasłużony i popularny muzyk polski, Jan Gall. Gall urodził się w r. 1856 w Warszawie, studia muzyczne rozpoczął w Krakowie, kształcił się w konserwatorjach muzycznych w Wiedniu i Monachjum. Około r. 1890 został dyrektorem Stow. „Echo“ we Lwowie i był nim do śmierci. Opracował przeszło 400 kompozycji muzycznych.

Napisał wogóle około 50 pieśni na głos pojedynczy. Niektóre z nich, jak „Dziewczę z buzią, jak malina“, „Przy gitarze“, „Noc wiosenna“, barkerola „Ach, zejdź do gondoli“, „Słońce jasne ma promienie“ i t. d., dostąpiły popularności szerokiej. Poza tem napisał kilka tercetów na głosy żeńskie i kwartetów męskich, oraz ułożył kilka pieśni Moniuszki na 4 głosy męskie.

= Szerzenie prawosławia.

Istniejące w Wilnie cerkiewne bractwo prawosławne św. Ducha w celu szerzenia wśród ludności litewskiej prawosławia, przystąpiło do wydania w języku litewskim liturgji prawosławnej, oraz innych książek do nabożeństwa. Ponieważ znaczna część ludności litewskiej zamieszkuje gub. suwalską, bractwo zwróciło się do tamtejszych władz administracyjnych o pozwolenie rozpowszechniania wydawnictw bractw wśród ludności litewskiej w gub. suwalskiej.

= Wyniki wyborów w Królestwie.

Ogólne rezultaty wyborów w Królestwie, dają obraz następujący:

Wybrano pięciu demokratów narodowych, a mianowicie: w Lublinie p. Nakoniecznego, w Radomiu p. Świeżyńskiego, w Kielcach p. Jarońskiego, w Płocku p. Gościńskiego, w gub. warszawskiej p. Kiniorskiego. Nadto wybrano: w Piotrkowie p. M. Lempińskiego, sympatyka Demokracji Narodowej, w Kaliszu p. A. Parczewskiego, bezpartyjnego; w Łomży d-ra Harusewicza, sympatyka secesji; w Siedlcach p. Dymarski, sympatyka realistów. W Suwałkach wybrany został nacjonalista litewski, ks. J. Laukajtis i w Łodzi dr. Bomasz—żyd.

W Warszawie wybrany został — Władysław Jagiełło, robotnik, należący do lewicy.

= Nowe pismo.

Dr. med. Michał Minkiewicz, uzyskał koncesję na wydawanie w Wilnie miesięcznika p. t. „Lekarz Wileński“, poświęconego medycynie i sprawom lekarskim.

= Polacy w Petersburgu.

Polski komitet wyborczy drugiej kurji m. Petersburga uchwalił popierać kandydatury kadetów Rodiczewa i Szingarewa oraz socjalnego demokraty Sokolowa. Kandydatura Milukowa nie znalazła aprobaty z powodu niewystarczających wyjaśnień, złożonych przez lidera stronnictwa wolności ludu na przedwyborczym wiecu polskim w Petersburgu w sprawie głosowania kadetów za wykupem kolei Warsz.-Wied.

= Siódma rocznica d. 17 października.

Bardzo charakterystyczne było w tym roku zachowanie się prasy rosyjskiej w siódmą rocznicę ogłoszenia „konstytucji rosyjskiej“ w d. 17 października. Najpoczytniejszy i najwplywowszy w Rosji organ, „Nowoje Wremia“, przypomniawszy sobie pod tą datą... cudowne ucalenie pod Borkami i opisał bardzo obszernie cały szereg nabożeństw, jaki się odbył w przeddzień z tego powodu. Z powodu rocznicy ogłoszenia „konstytucji“ „Nowoje Wremia“ nie znalazło ani słówka do powiedzenia, tak samo zresztą, jak i inne organy reakcji. Przypominały sobie natomiast tę datę pisma opozycyjne i dały z tego powodu upust uczuciom goryczy.

= Porażka Guczkowa.

Na wyborach w Moskwie Guczkow poniósł porażkę. Zwyciężyli kadeci. Fakt to niezmiernie charakterystyczny, świadczący o zupełnym upadku październikowców. „Był to sul generis sąd nad centrum trzeciej Dumy i jego najwybitniejszym przedstawicielem, przytem sąd, którego skład bezwątpienia był ułożony korzystnie dla oskarżonego“ — piszą „Russkija Wiedomosti“.

Prócz organów październikowych, najbardziej wziął do serca porażkę Guczkowa p. W. B—ski w „Kurjerze Litewskim“. Jest on bardzo zmartwiony, że idea kompromisu i oportunistu, której wyobrażicielem jest Guczkow, nie znalazła aprobaty ze strony społeczeństwa rosyjskiego. Nie wątpimy, że zmartwienie jest szczere.

= Jubileusz T. Korzona.

W niedzielę ubiegłą w Warszawie obchodzono uroczyste jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy na polu dziejopisarstwa prof. Tadeusza Korzona, autora pomnikowego dzieła: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta“.

Hołd półwiekowej pracy złożono w postaci podniosłej Akademii, jaką urządziło T-wo miłośników historii w sali domu Baryczków dla członków Towarzystwa i zaproszonych gości. Szereg przemówień rozpoczął prof. Wład. Smoleński charakterystyką jubilatą, poczem zabierali głos Rogier hr. Lubiński, prof. Ignacy Chrzanowski, Aleksander Jabłonowski, prof. Wacław Sobieski (w im. Uniw. krakowskiego), prof. Bronisław Dębiński, który wręczył jubilatowi honorowy dyplom doktorski od Uniw. lwowskiego, dr. Michalski z Poznania, mecenas Tadeusz Wróblewski, Edward hr. Krasiński, mecenas K. Dunin, A. Janowski, Stef. Laurysiewicz, Ed Jankowski, Samuel Dickstein, prof. Zimmer, mec. Julian Kaz. Jasiński, prez. Wład. Kiślański, Paczke, dyr. Kontkiewicz, Maurycy hr. Zamoyski. Na zakończenie przemówień prof. Chrzanowski odczytał list, jaki nadesłał H. Sienkiewicz, poczem wzruszony jubilat wygłosił spowiedź z półwiecza zawodowej pracy.

Wilno reprezentowali dr. J. Boguszewski, jako delegat T-wa Przyjaciół Nauk oraz mec. Tadeusz Wróblewski, który wręczył prof. Korzonowi adres i upominek, w postaci cegły z fundamentów wszechniży wileńskiej, oprawnej w srebro i ozdobionej minjaturami Lelewela i jubilatą, w wykonaniu F. Ruszczyca.

Książki nadesłane do Redakcji.

Savitri, Pani Słoneczna. Dramat. Kraków 1912. Nakładem księgarni literackiej Karola Kwaśniewskiego. Warszawa. G. Centnerszwer i Spółka.

Mieczysław F. Ziębowski. Przedwiośnie. Warszawa 1913. Skład główny w księgarni Jana Fiszerza.

Stanisław Posner. Kluby robotnicze. Osobne odbicie z książki zbiorowej „Praca oświatowa“. Kraków 1912.

Katalog № 13 Antykwaryjatu polskiego w Warszawie Hieronima Wildera i S-ki. Biblioteka Wacława Aleksandra Maciejowskiego.

Treść numeru.

Pod hasłem oportunistu. — L. A.

Niepotrzebne maklerstwo. — a.

Nacjonalizm i młodzież. — M. Niedziałkowski.

Polacy na Rusi.

Syndykalizm francuski. — R. Dołęgi.

Wspomnienie. — A. Naworskiego.

Z mego notatnika. — Licza.

Teatr zimowy. — Z. Kleszczyńskiego.

Muzyka. — H. Łopuskiej.

Przeegląd piśmienniczy. — E. Czekalskiego.

Odpowiedzialność posłów.

Na Widnokregu.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Kronika.

Odcinek: „Zastygła fala“. — J. Augustynowicz a.

Dziennik Petersburski

Organ kolonji polskich
w cesarstwie Rosyjskiem

Bezpartyjna, polityczna, społeczna, literacka i naukowa gazeta codzienna

TRZECI ROK WYDAWNICTWA.

We wszystkich ogniskach życia polskiego: Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie, Kijowie, jakoteż w ważniejszych miastach Cesarstwa „Dziennik Petersburski” posiada własnych korespondentów.

Wydawca: **A. Babiański.**

Redaktor **J. Sawicki.**

Sekretarz Redakcji: **St. Grostern.**

Prenumerata wynosi w **Petersburgu**: rocznie 6 rb., półr. 3 rb., kwart. 1 rb. k, mies. 50 kop. Numer pojedynczy 2 k.—
na prowincji 3 kop. **W Cesarstwie**, rocznie 8 rb., półr. 4 rb., kwart. 2 rb. **Zagranicą**, — rocznie 12 rb.
Adres redakcji i administracji: **Petersburg, Włodzimierski prospekt 13.**

BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJALISTY - LEŚNIKA

Józefa Łastowskiego

(byłego p. o. Członka Banku Włościańskiego)
Wilno, prosp. Ś-to Jerski, d. № 43 m. 4.

Parcelacja, likwidacja

majątków ziemskich z udziałem Banków w Ziemskich i Włościańskiego lub bez tegoż, parcelacja planów miejskich.

Urządzanie gospod. leśnych

oraz innych robót w zakresie leśnictwa wchodzących.
Informacja od godziny 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

Mieszkanie wraz z całodziennem utrzymaniem dla kształcących się panien.

Zapewnia się zdrowe odżywianie, wszelkie wygody, oraz pomoc i ulgi w korzystaniu z odczytów, muzeów, kierownictwo w czytaniu książek i t. p. Na żądanie konwersacja francuska, nauka kroju, robót i słoju.

Warszawa, ul. Złota 36 m. 13 Z. GRUSZCZYŃSKA.

WACŁAWA GRUBIŃSKIEGO

Pocałunek — utwory powieściowe (wydanie drugie) — 1 rb. 60 kop.

Moc kamienna — nowele — 1 rb. 20 kop.

Bunt — nowele (wydanie drugie) — 1 rub.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

L. KRZYWICKIEGO

W O T C H Ł A N I.

Rozbiór wpływów, wywieranych przez ustrój społeczny na moralność, naukę, literaturę i sztukę.

Str. 292. Cena 1 rb. 60 kop.

Dla prenumeratorów „Przeglądu Wileńskiego” cena niższa do 1 rb. (bez przesyłki).

Dr. Stefanja Hertz

CHOROBY KOBIECE

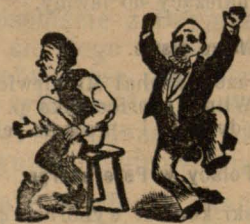
Przeprowadziła się na ul. Dominikańską № 8.

Przyjmuje codziennie od 5-ej do 7-ej pop. prócz świąt i niedziel.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“

tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzeniem

Informator Handlowy.

BIURO RZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.
POŚPIECH i DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Ludwisarska № 8.
Obuwie gotowe i na obstalunek.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Ś-to Jerski 7.

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.